

Cena 15000 zł w prenumeracie 12000 zł



ZIMA 1993/94

Nr 4 (24)

ROBERT A. SWANSON

przełożył

MAREK MACIOLEK

## MAŁY WOJOWNIK

odłóż teraz ten bęben, mały wojowniku  
nie wolno ci hałasować w mieście

odwieś teraz mokasyny, mały wojowniku  
nie masz prawa tańczyć w mieście,

nie mów teraz językiem swego ojca,  
mały wojowniku

jesteś teraz w mieście  
i nie ma tu żadnych Indian



## JAK TO Z NAMI JEST

Ten TAWACIN jak chyba żaden inny złożony jest prawie w całość na komputerach, w teku komputerach, w teku miejscach - i jak widać są efekty, może poza okładką, ale myślę, że niedługo i tam dotrze komputeryzacja. A to by się naprawiło bardzo przydało. Komputery oczywiście ułatwiają nam składanie numeru, a co za tym idzie, przyspieszają się jego ukazywanie się, co - mamy śmiało nadzieję - zlikwiduje nasze ciągłe opóźnienie i co (tu mamy nadzieję nieśmiało) spowoduje, że TAWACIN będzie ukazywał się częściej.

Cieszy nas bardzo fakt, że coraz więcej osób chce nam pomagać, co prawda - tylko chce, ale chęć to także duża pomoc, mimo wszystko.

A co w numerze: jak wiadomo w kwartalniku o aktualność trudno, dlatego dopiero teraz piszemy o ostatnich wydarzeniach w Brazylii czyli o amazońskiej tragedii Indian Janomami. Wiadomo, że cały świat śledził aktualnie wydarzenia w Meksyku, my o powstaniu Indian ze stanu Chiapas napiszemy w następnym numerze.

Tak więc życzę przyjemnej lektury i dużo uśmiechu nad tekstem Wilfa Pelletiera.

Redaktor naczelny



**Ukazuje się:** w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciolek i Marek Nowocień **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichowski, Wiesław Koleczek, Maciej Lewandowski i Mirosław Sulgostowski **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9 62-069 **Wydawca:** TIPI s.c. ul. Łąkowa 3 64-050 Wielichowo **Druk:** Zakład Usług Poligraficznych WI-MARK, Kalisz ul. Czereśniowa 10

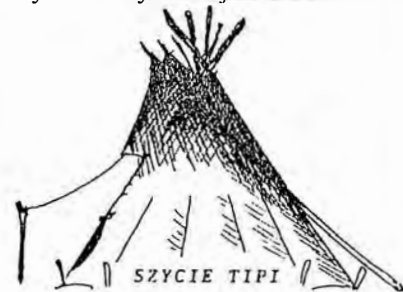
## Spis treści:

- wesoła opowieść Wilfa Pelletiera o durnocie Indian	3
- o Indianie na przykładzie czasopisma Eastern Door	12
- o Indianie sposobie widzenia stosunków międzyludzkich	16
- o Muzeum-Pracowni Literackiej Arkadego Fiedlera	21
- o Indianach kanadyjskich oczami Arkadego Radosława Fiedlera	22
- opowiadanie Simona J. Ortiza	24
- Janice Lynn: walka o wolność	28
- Janomami: więcej niż masakra	32
- krytyczna recenzja filmu Tańczący z Wilkami	36
- o Pow-wow Narodu Oglala Lakota pisał Jan i Leon Rządowski	40
- serwisy z ziemi Indian	35, 45

TAWACIN jest pismem polecanym przez Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian skr. pocztowa 4, 15-472 Białystok 21.

## Podziękowania:

**za koperty:** KPI i Staś Lewandowski; **za znaczki:** Marzena Jereżyńska; **za materiały:** Bogdan Herba, Tomek Chodorowski, Henryk Krawczyk i Alicja Stebłok.



kształt, wielkość, rodzaj materiału i kolor oraz cena do uzgodnienia wszelkie informacje pod adresem:

Konrad Konarzewski  
Rybicka 6, 75-228 KOSZALIN  
z dopiskiem TIPI



Wilf Pelletier (Wawashkesh)

# Ci durni Indianie

Wstęp

Chcę wam opowiedzieć jak durni są Indianie. Najpierw jednak parę słów o tym, jak doszło do tej opowieści. Pewnego razu, w trakcie moich pierwszych wystąpień na temat durnoty Indian, zostało trochę czasu na pytania. I wtedy jakiś mądrala (w każdej grupie słuchaczy znajduje się choć jeden taki) wstał i spytał: - Jeśli jesteś taki dumny, to kto pisze ci te wszystkie teksty?

Cóż, muszę przyznać, że zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odpowiedź, której nie umiałem mu wtedy udzielić, brzmi następująco: teksty pisze mi moje doświadczenie.

Każdy ma talent, tak jak każdy ma nos, dwoje uszu i wątroby. W większości jednak jesteśmy tak zaskorupieni, że ów talent sporadycznie tylko wychodzi na powierzchnię.

Mam też kolegę, który pisze dla mnie, ale woli on pozostać anonimowy. Obu nam się zdaje, że mamy dla was coś ekstra. Otóż,

żaden z nas nie doświadczył w pełni dobrodziejstwa oficjalnej edukacji, bo wcześniej uciekliśmy ze szkoły, jesteśmy zatem skończonymi durniami i wiemy tylko jedną rzecz, mianowicie, że nie wiemy, co robić. Tymczasem ludziom dookoła wydaje się, że wiedzą, co robić. Ba! Są głęboko przekonani, że wiedzą też, co inni mają robić!

Institucje zachodniego świata tworzą programy, wyznaczają zadania, powołują komitety itd. co daje im zajęcie na najbliższy tysiąc lat. Każda organizacja ma swoją komisję programową. W rezultacie młodzi Indianie, którzy opuszczają rezerwat i próbują włączyć się w życie społeczne, odkrywają nagle, że muszą zostać mówcami.

Był taki czas w mojej karierze mówcy, że przemawiałem przed obiadem, przemawiałem po obiedzie, przemawiałem wieczorem, uczestniczyłem w seminariach i chodziłem na dyskusje. Nikt nie pracował tak ciężko i był tak kiepsko opłacany jak ja, chociaż sporo się nauczyłem. Na przykład

to, że choć przemawiałem jako Wilf Pelletier, to publiczność słyszała Indianina.

Ta nalepka „Indianin”, jaką mnie obdarzono, utrudniała wszelką prawdziwą komunikację. W pewnym momencie, spostrzegłem się, że choć żaden Indianin nie prosił mnie, bym przemawiał w jego imieniu, to jednak nagle stałem się „indiańskim rzecznikiem”. Krótco potem doznałem kolejnego szoku: choć żaden Indianin nie prosił mnie o to, zostałem „indiańskim liderem”.

W końcu uświadomiłem sobie, że większość ludzi wcale mnie nie słucha. Większość ludzi, jakich spotykałem, twierdziło, że interesuje ich - jak to określili - „problem indiański”. I przychodzili na spotkania z głową pełną gotowych formułek na temat Indian. Dlatego się poddałem i zszedłem ze sceny. Byłem wściekły, sfrustrowany, rozgoryczony i bardzo samotny. Niebawem jednak zacząłem się śmiać z tego wszystkiego, bo było to naprawdę zabawne i miałem, na szczęście, paru przyjaciół, którzy podzieliali mój śmiech.

Indianie nie potrzebują żadnej pomocy od białych. Wszystko, czego chcą, to uwolnić się od nich, od ich założeń, poglądów i dobrych intencji. Niektórzy z nas znajdują trochę ulgi w śmiechu. Stąd właśnie wzięła się moja opowieść.

Mam nadzieję, że znalazłem sposób na podzielenie się tą ulgą z wami. Śmiech to wielki nauczyciel. Nauczycie się od niego więcej brzuchem aniżeli głową. W trakcie śmiechu, okazuje się, że do niczego nie należy podchodzić na poważnie, za wyjątkiem jedzenia i picia. Kiedy zachodni świat nauczy się sztuki podboju za pomocą śmiechu, Pokój spocznie na nas i zesłże swe błogosławieństwo, a my przyjmujemy jego obecność równie naturalnie, jak teraz przyjmujemy błogosławieństwo światła dziennego.

\* \* \*

Historia - nie jestem historykiem... nawet nie mam wykształcenia, więc oczywiście ja niczego nie wiem. Nie mogę

się jednak powstrzymać od własnych spostrzeżeń. Oto więc historia pióra Wilfa Pelletiera. Cała historia Ameryki, jaką znacie, oparta jest na podstawie zapisów sporządzonych przez Europejczyków i ich potomków w ciągu minionych czterystu lat. Natomiast historia, jaką ja chcę wam przedstawić oparta jest na tym, co widziałem i słyszałem od ludzi, którzy żyli tu tysiące lat wcześniej.

Według mnie przyczyna odkrycia Ameryki leży nade wszystko w tym, że warunki w Europie były do tego stopnia złe, iż wielu ludzi poczuło, że musi po prostu gdzieś wyjechać. W owym czasie były tysiące złodziei, rabusiów i ludzi nieprzystosowanych, którzy znajdowali się na celowniku i szukali miejsca, gdzie mogli by się ukryć. Tych malkontentów i kryminalistów nazywamy dziś *pionierami*.

Odkrycie Ameryki spadło na naszych ludzi jak grom z jasnego nieba. Nie spodziewali się, że ktoś może ich odkryć. Kolumb także nie spodziewał się odkrycia Ameryki, ale to zupełnie inna historia. Powodem wszystkiego, co tak niespodzianie spadło było to, iż moi ludzie nawet nie wiedzieli, że potrzebują pomocy.

Cóż, pewnie wiecie, kto naprawdę potrzebował pomocy - owi pionierzy. Byli tacy nieudolni... nawet nie umieli się nakarmić. Gdyby moi ludzie nie doglądali ich i nie pokazali jak sadzić kukurydzę, jak polować i łowić ryby - wszyscy by wyginęli. Jak wiemy nie pomarli, ale wcale nie czuli się znowu tak dobrze, o nie. W gruncie rzeczy czuli się gorzej niż w Europie. Może cały humor psuł im fakt, że musieli zdać się na pomoc ze strony dzikich i pogan.

Gdy jest ci źle, masz do dyspozycji wiele sposobów poprawienia sobie humoru. Jedni piją olej rycynowy, inni wódkę. Jeszcze inni wstępują do klubów wzajemnej adoracji, idą do fryzjera albo kopią psa. Jednak pionierzy nie zrobili nic z tych rzeczy. Oni sprowadzili sobie czarnych ludzi z Afryki.

Zrobili to, ponieważ dzięki temu mogli poczuć się wyżsi od czarnuchów.



Czuli, że czarnuchy są gorszego gatunku niż oni i rozkręcili niezły interes, żeby utrzymać ich w tym przekonaniu. Kiedy więc znaleźli się w tej sytuacji, że istniały dwie odrębne rasy - Indianie i Czarni, którzy byli gorsi od nich, głupszy, biedniejsi, bardziej załozni i bezradni - wtedy, rzecz jasna, poczuł się już znacznie lepiej.

Ale wiecie co, tym pionierom i ich potomkom ciągle było mało. Wyglądało na to, że w ogóle nie są zdolni do tego, by kiedykolwiek poczuć się zupełnie dobrze. Wkrótce więc sprowadzili paru Chińczyków, żeby budowali kolej żelazną. Nazwano ich *kulisami*, bo jadąc pociągami cały czas kulili się z zimna.

Potem ściągnęli Japończyków. Dzięki temu czuli się coraz lepiej. Z początku wszystko szło świetnie, bo ci durni Indianie, Czarni i Chińczycy, i Japończycy byli kompletnie zaszokowani bogactwem i technologią białego człowieka, jego nauką i przemysłem.

Wkrótce jednak te upupione mniejszości nie chciały już dłużej być upupione. Zaczęły sprawnie kłopoty i urosły do rangi *problemów*. Odtąd biali mieli więc na głowie problem indiański... potem problem murzyński i tak dalej.

Żyjąc obok białego człowieka, wszyscy oni poznali go całkiem dobrze, a im bardziej go poznawali, tym radość ich była mniejsza niż jego. W końcu doszli do przekonania, że nikt nie chce czuć się gorzej od białego człowieka i wielu z nich nappełniło gorące pragnienie czucia się tak dobrze jak on. Później to uczucie znane było jako *równość*.

Wszyscy ci ludzie zaczęli przemawiać, urządzać kampanie i wybory, bo w ten sposób zdobywa się równość. Nazywa się to *polityką*. Moi ludzie byli jednak tak durni, że nie rozumieli jak się robi politykę. Tak naprawdę nie mieli nawet takiego słowa. Zajmowali się swoimi sprawami przez tysiące lat i przez cały ten czas nie wiedzieli, że nie można zajmować się swoimi sprawami nie mając rządu.

Nie wiedzieli, że potrzebny jest budynek parlamentu - miejsce, w którym rząd mógłby działać. Jeśli nie ma takiego miejsca, rząd nie może działać. Ten budynek trzeba nappełnić członkami parlamentu, którzy pochodzą z wyborów.

Możecie sobie wyobrazić jak byliśmy durni?! Nie pomyśleliśmy nawet o Państwowym Zarządzie Portów - a przecież wszyscy mieliśmy kanu. Nie nie wiedzieliśmy o po-

bieraniu podatków - pieniądze w ogóle nie przyszły nam do głowy.

Byliśmy durni do tego stopnia, iż nie wiedzieliśmy, że rząd to triumf większości ludzi nad mniejszością, i że podział społeczeństwa to objęcie władzy.

Nawet naszym najstarszym i najmądrzejszym doradcom rządzenie kojarzyło się z powszechnym dobrem. Nie wiedzieliśmy nawet, że do rządzenia potrzebna jest władza. Byliśmy tacy durni; myśleliśmy, że wszystko czego potrzeba do rządzenia to... aż wstyd mi się przyznać... mądrość i współczucie.

Moi ludzie byli tak durni, że nawet nie wiedzieli, że kraj musi być zjednoczony. Nie wchodziło im do głowy, że nie można sobie pozwolić na separatyzm. Trzeba być zjednoczonym pod względem politycznym i ekonomicznym, nawet jeśli się nawzajem nie znosi. Występowały u nas rasowe uprzedzenia, ponieważ tam... za tymi wzgórzami... żyli ludzie, którzy wyglądali jak istoty ludzkie, ale nie byli tacy sami bo... no właśnie... śmiesznie mówili. Moi ludzie nie pomyśleli, że trzeba tam pójść i nauczyć tych ludzi właściwej mowy, bo jeśli się tego nie robi, to powstanie separatyzm, a na to nie wolno sobie pozwolić.

Tak było jednak naprawdę dawno temu: Po Kolumbie dowiedzieliśmy się, od białych naukowców (ludzie, którzy badają społeczeństwa prymitywne), że ludzie, którzy śmiesznie mówili są w rzeczywistości naszymi dalekimi krewniakami. Dla nas oznaczało to, że tylko pod pewnym względem są istotami ludzkimi. Przypuszczamy, że oni myśleli o nas to samo.

Jeszcze jednej rzeczy dowiedzieliśmy się od tych naukowców, mianowicie że ci nasi dalecy krewni noszą imię Siuksa. Wszyscy, nawet ci najbardziej twardzi i odważni wojownicy nosili to dziewczęce imię... Siuksa. Moi ludzie myśleli, że to niezły bajer. Śmiali się z tego przez siedem pokoleń. Niektórzy starzy śmieją się do dzisiaj.

Kwestia rządu spędzała moim ludziom sen z powiek. Sądziła, że decyzje dotyczące wszystkich ludzi powinny być podejmowane przez najmądrzejszych, najbardziej doświadczonych i dzielnych ludzi w wiosce. W ten sposób wszyscy mądrzy, dzielni i doświadczeni ludzie obejmowali ważne i kierownicze stanowiska.

Po prostu nie wiedzieliśmy, że właściwy system demokratyczny powinien przyciągnąć najbardziej ambitnych ludzi w społeczeństwie... najbardziej egoistycznych... tych, którzy są święcie przekonani, że wiedzą co jest najlepsze dla każdego, którzy chcą kierować życiem innych ludzi. Ciągłe jeszcze uczymy się polityki, nawet dziś.

Nie chcę się usprawiedliwiać, ale to prawda, że w ogóle nie mieliśmy książek do nauki. Są tacy, co mówią, że wynaleźliśmy papier na długo przed przybyciem Kolumba, ale nikomu nie przyszło do głowy, by na nim pisać, nie mówiąc już o drukowaniu. Cały papier zużywaliśmy więc na robienie samolocików. Umiejętność czytania i pisania została zapomniana. Nie wiem, czy to prawda, ale jeśli tak, to wynika stąd, że wynaleźliśmy samolot na długo przed braćmi Wright.

Swoją drogą, myśleliśmy że wiedza to coś wrodzonego, o tutaj, w mózgu... jak krew w żyłach albo wzrok w oczach, czy słuch w uszach.

Kompletnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że cała wiedza znajduje się w książkach i że jeśli nie umiesz czytać i nie masz książek, twój mózg pozostanie właściwie pusty i nigdy nie będziesz nie wiedział.

Nie wiedzieliśmy też, że z nim rozpocznie się nauczanie, trzeba mieć takie specjalne miejsce, do którego się chodzi. Niczego się nie nauczysz chodząc ot tak sobie, to tu, to tam... trzeba tego pilnować. Potrzebne jest więc takie miejsce i ludzie, którzy tam biegają. Dziś już wiemy, że to nazywa się *szkola*.

Wiemy też, że potrzebni są atestowani nauczyciele. Widzisz, byliśmy tak durni, że nie rozumieliśmy iż są ludzie, którzy wiedzą

wszystko - nazywa się ich *nauczycielami* - i ludzie, którzy nie wiedzą nic - zwani *uczniami*. Sądzę, że myśleliśmy, iż nauka przychodzi sama, tak jak wiosna, dzięki której cała ziemia z... aita kwiatami.

Jednym z efektów nie posiadania szkół, nauczycieli, tablic czy lawek - czyli *systemu edukacyjnego* - było to, że nikt nie miał żadnego stopnia. Nie mogliśmy więc powiedzieć kto jest kim. Nie wiedzieliśmy, kto jest bystry, a kto przyglupawy. Na tym jednak nie koniec, było coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Mianowicie, każdy automatycznie był... a tak... w pewnym stopniu równy.

Biuro Spraw Indiankich robi oczywiście wszystko co może, aby stworzyć nam możliwości kształcenia i zdobycia w ten sposób równości. Nie wiedzieliśmy o tym na początku, musieliśmy się nauczyć czuć nierówni albo gorsi. Niektórzy z nas właśnie teraz zaczynają pojmować, jak ważne jest to poczucie niższości, bo jeśli nie poczujesz się niższy od innych - nie dowiesz się, gdzie jest twoje miejsce na słupie totemowym pokrewieństwa wyższego stopnia. Nie poczujesz niezadowolenia z samego siebie i swego miejsca w życiu. Człowieku, nie będziesz miał żadnych ambicji, a bez tego - nie zrobisz ani kroku do przodu.

Moi ludzie nigdy nie znali, ani nie mieli żadnego miejsca w życiu, za wyjątkiem powierzchni ziemi - rozciągającej się przed nimi we wszystkich kierunkach na wieki. Żyli tam na ubożu, na tym samym poziomie co inni i wszystkie rzeczy. Spoglądali jedynie na drzewa i orły. Ich miejsce życiowe znajdowało się pod niebem i słońcem. Niełatwo było się moim ludziom nauczyć o niższości i nierówności.

Może więc całe to gadanie, że jesteście przyglupawi to nieprawda? Wygląda na to, jakbyśmy zawsze robili wszystko na opak. To co nam wydawało się krokiem naprzód było w istocie krokiem wstecz. Jak w takiej sytuacji osiągnąć postęp? Postęp zależy od zwrócenia się we właściwym kierunku; od tego, że wiadomo gdzie się idzie.

Czytając z naszych własnych śladów zawsze mogliśmy powiedzieć, skąd przyszliśmy, ale nigdy nie było żadnych śladów w przyszłość. A zatem nie mieliśmy przyszłości. W naszym języku najbliższe określenie na przyszłość brzmiało coś jak luk albo okrąg. Nasza droga była częścią okręgu. Takie było nasze pochodzenie, byliśmy tak durni, iż nie wiedzieliśmy, że postęp osiąga się jedynie idąc prosto przed siebie.

Zdaje mi się, że chodziliśmy w kółko. Nasze wczorajsze ślady były jednocześnie śladami w jutro. To niezły klops, bo jeśli dewizą życiową jest waleśnięcie się z przyciąłmni po bezdrożach i wertepach, po prostu tak sobie, bez żadnego celu, to brakuje też jakiegokolwiek ambicji, a to już wiadomo, co oznacza, mianowicie, że jest się do niczego.

Tak więc widać, ile jeszcze musimy się nauczyć. O wszystkim mieliśmy złe wyobrażenie. Musimy nauczyć się wszystkiego od nowa. Zmęczę nas jednak fakt, że uczymy się zbyt wolno i chociaż Biuro Spraw Indiankich przecznacza co roku



z sześćdziesiąt milionów na nasze kształcenie, na zakładanie szkół, na ławki, żebyśmy mieli gdzie siedzieć, na książki, na opłacenie nauczycieli i te sprawy... a nam wszystko z takim trudem wchodzi do głowy.

Jedną z przyczyn tego powolnego uczenia się jest może to, że zanim rozpoczniemy naukę, najpierw musimy opanować angielski albo jakiś inny europejski język. Okazało się, że gdybyśmy próbowali uczyć się we własnym języku, to zabrakło by nam słów. Tak jest, nie mamy własnego słownictwa.

Na przykład, słowo równość... nie mieliśmy takiego słowa. Za to mieliśmy równość... nie o tym nie wiedząc.

Albo współżycie. Takiego słowa też nie mieliśmy. Właściwie nie było wśród nas biedoty... ale nie wiedzieliśmy, że jesteśmy bogaci.

Gdy przyjechał tu Kolumb, zastał wielu ludzi, którzy śmiesznie mówili i zamieszkiwali całą tą posiadłość...oba kontynenty. To olbrzymia własność, ale oni byli durni i nawet nie wiedzieli, że je posiadają. Nie mieli do nich żadnych tytułów. Nie mieli żadnych pól.

Nie postawili żadnych znaków typu: „Własność prywatna” albo „Nie wchodzić”, czy też „Obey wstęp wzbroniony”. Nikt nie wiedział, do kogo to wszystko należało. To zapewne największy balagan w nieruchomościach, jaki oglądał świat.

I to właśnie umożliwiło Kolumbowi „odkrycie” Ameryki dla króla Hiszpanii, bo gdyby natknął się na wywieszkę typu „Własność prywatna” albo „Nie wchodzić” - to po prostu zawróciłby i spokojnie popłynął do domu, mówiąc później królowi Filipowi: „Niedobrze. Ameryka nie tylko jest zamieszkała, ale i ma właściciela”. Oto więc zadanie, jakiego podjęli się pierwsi pionierzy: uporządkowanie owego balaganu w sprawie nieruchomości tych wszystkich durnych ludzi.

Wymagało to sporo odwagi, bo przecież nie można tak po prostu zabrać się i zrobić. Nie można tego zrobić bez wprowadzenia edukacji i polityki, religii i sądów, bez

policii i wojska, i wojny domowej, bez małżeństw i przemocy, i zanieczyszczeń, bez kolei żelaznej i autostrad - aby ludzie mogli się oderwać od tego wszystkiego - a także bez miast, do których ci ludzie mogli się zjeżdżać, aby tam ich podzieleno... Wszystko to oczywiście pochłania olbrzymie pieniądze... i tego właśnie ogromnego dzieła podjęli się ci pionierzy.

Gdy przyjechał Kolumb i zobaczył to wszystko, od razu wiedział, co zrobić. Wrócił do Hiszpanii, żeby sprowadzić paru naprawdę dobrych agentów do spraw nieruchomości. Tak też się stało. Gdy przyjechali, sytuacja okazała się tak skomplikowana, że nie wiedzieli, jak się zabrać do tej roboty. Na szczęście sami Indianie podsunęli im rozwiązanie.

Po wielu latach doświadczenia oszustw, zniewolenia, morderstw, zdrady i innych zniepraw, moi ludzie zaczęli podejrzewać, że białym wydaje się, iż są lepsi od Indian. Pewnego dnia Indianie spytali o to agenta nieruchomościowego, a on odrzekł:

- Tak - są lepsi, bo są cywilizowani.

- A co to oznacza? - zapytali Indianie. - My nie mamy takiego słowa.

Biały powiedział: - Cóż, znaczy to, że jesteście dzikusami.

Moi ludzie ciągle jednak nie rozumieli i znowu zapytali: - A co to naprawdę oznacza?

Agent odpowiedział: - To znaczy, iż nie jesteście właściwie uświadomieni, że istoty ludzkie to nie zwierzęta. W dowód czego - nie ubieracie się właściwie, a czasami chodzicie całkiem nago. Nie pouczacie swoich dzieci jak trzeba, przeciwnie - pozwalacie im dorastać, jak szczeniętom. Nade wszystko nie jesteście chrześcijanami, a stąd jesteście przekleci.

Moi ludzie skrzywili się i poszli sobie.

Po jakimś czasie jednak wrócili i spytali agentów: - Jak zostać cywilizowanym?

- To bardzo proste - odparli biali, a potem wyprowadzili moich ludzi z krzaków i wytyczyli mały kwadrat ziemi.

- To jest teraz wasza własność - powiedzieli. - Posiadanie czegoś na

własność, to początek stawiania się cywilizowanym. Jest jeszcze wiele innych rzeczy, jakie musicie zrobić, zanim zostaniecie ucywilizowani... na przykład przyjęcie chrztu, zdobycie wykształcenia, zawarcie małżeństwa i podjęcie pracy... ale przynajmniej zrobiliście ten pierwszy krok.

Moi ludzie powędrowali więc na tę swoją własność i przez chwilę czuli się ekstra będąc właścicielami posiadłości. Zaraz jednak przyszli tu księża i pobudowali kościoły - aby moi ludzie mogli przyjąć chrzest i ślub; potem postawiono szkoły - aby moi ludzie mogli zdobyć wykształcenie, a na koniec wybudowano domy, w których mogli mieszkać nauczyciele i księża.

Kiedy jednak stawiali te wszystkie budowle na naszej posiadłości, nie pytając nas nawet o zgodę, poculiśmy się nieswojo. Niebawem moi ludzie spostrzegli, że ich własność jest bardzo uboga... jałowa i pełna skal. Poszli więc znowu zapytać agentów, którzy mieszkali sobie teraz za płotkiem, w dolinie nad rzeczką.

- Wy jesteście myśliwymi - usłyszeli w odpowiedzi - a my jesteśmy farmerami. Potrzebujemy dobrej ziemi. Wy nie. Gdy będziecie na tyle ucywilizowani, żeby zostać farmerami jak my, chętnie odsprzedamy wam trochę tej nizinnej ziemi.

- Ale my nie mamy w ogóle waszych pieniędzy - jęknęli moi ludzie.

- To przynieście nam po prostu parę bobrowych skórek - powiedzieli agenci.

Może w ten oto sposób rozpoczął się wielki handel futrami. W każdym razie mamy taką legendę.

Uczenie się cywilizacji zajęło nam sporo czasu, a ciągle jeszcze wiele przed nami. Na przykład, tyle co uświadomiliśmy sobie, że aby być cywilizowanym trzeba mieć śmiecie. Zawsze mieliśmy wokół siebie jakieś odpadki, choć właściwie były to tylko resztki jedzenia i kości... żadnych tam puszek, butelek czy plastików... nie wiedzieliśmy więc, że to są śmiecie. Sądziłyśmy, że to resztki dla psa. Myśleliśmy tak może dlatego, że psy to jadły. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy

się, że pokarm dla psów pochodzi z konserw, które kupuje się w sklepie.

To zaniedbanie w sprawie śmietnisk spowodowało, że straciliśmy szansę dużego zatrudnienia - wicie, chodzi o cały ten interes z wywózką: śmieciarze, ciężarówki, dozory śmietników, przedmieścia i te sprawy. Prawdziwa przyczyna tego tkwi - jak zwykle - w tym, że nie wiedzieliśmy o potrzebie pracy.

W rezultacie wszyscy moi ludzie byli bezrobotni. Zatem przed Kolumbem, cała ekonomia Północnej i Południowej Ameryki funkcjonowała na zasadzie totalnego bezrobocia. Pomyślcie tylko, jak spokojne życie moglibyśmy mieć, gdybyśmy wpadli na pomysł zasiłków dla bezrobotnych.

Byliśmy durni do tego stopnia, że dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, że aby sobie ulżyć, trzeba mieć kanalizację. Przez ileś tam pokoleń - nikt nie wie jak długo - aby sobie ulżyć chodziliśmy gdziekolwiek - jak zwierzęta, można by powiedzieć. Teraz zaczynamy sobie uświadamiać, że aby pójść do łazienki, trzeba ją najpierw mieć. To brzmi logicznie. Łazienka musi zaś być podłączona do kanalizacji, która wpada do najbliższej rzeki.

Kolejny problem to religia. Moi ludzie byli tak cienni, że nie wiedzieli nawet tego, że aby rozumieć trzeba mieć coś, co się nazywa *religią*. Ba, oni nawet nie mieli takiego słowa. W ogóle nie wiedzieli o tej hierarchii świętych, pośredników, biskupów i kapłanów. Byli tak durni, że przeważnie wierzyli w siebie. To ci dopiero kłopot.

Oduczenie się tego było naprawdę morderczym zadaniem. Sądzę, że gdybyśmy dowiedzieli się o Bogu odpowiednio wcześniej, dużo by nam to pomogło. Gdybyśmy tylko wiedzieli, że On jest w pobliżu, próbowalibyśmy Go odnaleźć, jak sądzą. Nasze dzieci mogłyby się jakoś z Nim dogadać. Dziś jednak wydaje się już za późno. Wygląda na to, że już Go nie ma w pobliżu. Niektórzy nawet mówią, że On umarł.

Byliśmy tak durni, że nie widzieliśmy różnicy pomiędzy Szabatem a pozostałymi sześcioma dniami. W efekcie, każdy dzień tygodnia był dla nas święty. Nie widzieliśmy, że jest jakaś różnica.

Zresztą, to może wcale nie miało takiego znaczenia... bo my przecież nie mieliśmy nawet tygodni. Tylko światło dzienne i mrok. Czas wyznaczał spotkania z ciepłem i zimnem. Nasze życie, wyznaczały okresy obżarstwa i dobrobytu, na przemian z okresami ubóstwa i głodu.

Nie widzieliśmy, że religia to śpiewanie hymnów i słuchanie kazań, zbieranie datków, budowa kościołów, gra w bingo i wysyłanie misjonarzy w pogańskie strony.

Byliśmy zakłopotani kościelną pobożnością. Popelnialiśmy więc różne gafy, takie jak wyprawy w dzicz na dwa-trzy tygodnie bez jedzenia. Wtedy miewaliśmy te dziwne sny, słyszeliśmy głosy i doznawaliśmy wizji. Sami widzieli, nie widzieliśmy, że to *halucynacje*. Teraz już wiemy, co to jest; wiemy, że tacy ludzie potrzebują pomocy i opieki.

W swej głupocie nie widzieliśmy, że zanim zacznie się praktykować religię, trzeba ukończyć seminarium. Mieliliśmy ludzi, którzy przez cały czas słyszeli głosy i doznawali wizji, ale nie widzieliśmy, że są to ludzie obłąkani i że trzeba ich odosobnić. Przeciwnie, pozwoliliśmy im żyć razem z nami. Wiedzieliśmy, co się stało. Ci szaleńcy zostawali duchowymi przywódcami w wiosce.

W ogóle nie widzieliśmy, co to jest religia. Właściwie myśleliśmy, że to radosna celebrowanie życia. Tymczasem okazało się, że to uroczyste obchodzenie pamiętki śmierci. Nie widzieliśmy, że do tego właśnie są wam potrzebne kościoły, posadzki, krzyże i figury męczenników.

W głupocie nie widzieliśmy, że religia to pełne nadziei i modlitwy poszukiwanie czegoś, czego się nie ma. Myśleliśmy, że to raczej celebrowanie tego, co się ma.

Kolejna sprawa, o jakiej nie mieliśmy pojęcia to grzech pierworodny. Sądziliśmy,

że rodzimy się czysti i niewinni. Tak więc nie widzieliśmy też o zbawieniu. Pomyśleć o tych milionach Indian, przed Kolumbem, którzy pomarli w grzechu. W piekle muszą się pewnie teraz borykać z ogromnym przeludnieniem.

Byliśmy tak durni, że w ogóle nie mieliśmy sumienia. O kureze, nikt z nas nie był zdolny poczuć się winnym. A gdy nie czujesz winy, skąd masz wiedzieć co jest słuszne? Człowieku, widzisz do czego prowadzi głupota! Nie dostaniesz się do nieba, oj nie. Jeśli nie wiesz, co jest dobre, a co złe - twoje miejsce jest w więzieniu. Niewiedza nie jest usprawiedliwieniem.

Oto więc zarys historii moich ludzi w relacji do europejskich emigrantów, czyli pionierów. Gdybym miał więcej czasu, opowiedziałbym wam jeszcze więcej. Na przykład, o sprawach mieszkaniowych. Jak wiecie, moi ludzie poprzestali na tipi. A tu liczą się miasta.

Tak samo tożsamość. Wiecie, to niesłychanie ważne, wiedzieć kim się jest. Być może biali w niczym nam tak naprawdę nie zagrażali, jak właśnie w sprawie tego, kim się jest.

Kim jestem?

Zanim przyjechał Kolumb, nie miałem z tym żadnych problemów. Byłem jednym z ludzi, Odawa. Sądzę, że wiedziałem to tak samo, jak żyjące w pobliżu bobry wiedziały, że są bobrami; jak niedźwiedzie wiedziały, że są niedźwiedziami, i jak wilki wiedziały, że są wilkami. Żadne ze zwierząt nie miało w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Po prostu robiliśmy swoje. O życiu nauczyliśmy się sporo od innych zwierząt, a być może i one nauczyły się czegoś pożytecznego od nas.

Po Kolumbie zacząłem miewać kłopoty z ustaleniem, kim jestem. Na początek, powiedziano mi, że jestem Indianinem. Potem dowiedziałem się, że jestem poganinem i dzikusiem. Jeszcze później zaczęto mi nieustannie mówić o tym, kim „powiniennem” się stać. Całe to „stawanie się” sprawiało mi niezłego kaca.

Dotąd wszystko, co wiedziałem, to to, że jestem. Nie wiedziałem, że możliwe jest, abym stał się kimś innym, niż jestem. Nawet nie wiedziałem, że dopóki nie staniesz się kimś, zawsze będziesz nikim.

Więc powiedziano mi, że powiniennem się ochrzcić, że powiniennem się uczyć, że powiniennem być ucywilizowany, że powiniennem wziąć ślub, że powiniennem nauczyć się handlować i dostać pracę i tak dalej te wszystkie „powiniennem”, co ponoć miało coś wspólnego z tym, kim jestem.

Jak już udowadniałem, ciągle jeszcze muszę się nauczyć. Jednej rzeczy nie muszę się uczyć, mianowicie, że kiedy ludzie zapominają, kim są, kiedy już nie wiedzą, kim są - zaczynają tworzyć kategorię tożsamości - nie tylko dla siebie, ale dla każdego i wszystkiego. Europejczycy i ich przełancowani amerykańscy potomkowie zapomnieli, kim są, i to dawno temu. Nie wiem, kto im pomógł zapomnieć. Wiem tylko, że ich sposób podchodzenia do tej sprawy to stawianie się - każdy z osobna - „kimś”.

Zasada jest następująca - robisz to, kim jesteś. Wszyscy dorośli są więc hydraulikami, elektrykami, farmerami, dentykami, nauczycielami albo duchownymi. Każdy z nich to w gruncie rzeczy taki czy inny specjalista. Gdy spotykam białego człowieka zawsze mam wielki problem. Przeważnie stykam się z ich zawodowymi kwalifikacjami, sporadycznie tylko mam do czynienia z prawdziwą, żywą białą osobą, co zawsze jest wielkim przeżyciem dla obu stron.

Mówilem, że przyjechałem do miasta, żeby zobaczyć, czego mogę się nauczyć. Sądzę, że muszę powiedzieć, jako podsunowanie, że to, czego się nauczyłem dotyczy nie Indian czy białych, ale istot ludzkich i humanitarnych wartości. A już tak zupełnie szczerze, to wszystko, czego się nauczyłem, dotyczy mnie samego. To wszystko wypływa z mego doświadczenia: w jaki sposób jestem sobą w dzisiejszym świecie. A to już jest tożsamość.

Kim jestem? Ludzie, którzy wiedzą, kim są, mają tożsamość globalną. Niczego nie pomijają i nikogo nie wykluczają. Natomiast ludzie, którzy zapomnieli, kim są, usiłują powetować sobie tę utratę tożsamości - czyli siebie - poprzez tworzenie i rozpowszechnianie substytutów wartości humanistycznych.

Gdy ludzie nie czują się już jak u siebie - pojawiają się sądy i kodeksy prawne, a także prawnicy, którzy je interpretują, oraz policja, która wymusza ich przestrzeganie.

Sprawiedliwość gubi się w zagmatwaniu procedury prawnej.

Gdy ludzie nie czują się już mądrzy - w każdej społeczności pojawiają się szkoły, drukuje się podręczniki, szkoli się nauczycieli żeby je tłumaczyli - a dzieci poddaje się manipulacji i zachęca do rywalizowania ze sobą.

Mądrość gubi się w zagmatwaniu procesu dydaktycznego.

Gdy ludzie nie czują się już pełni szacunku - wszędzie pojawiają się kościoły. Wysuwają się argumenty wbrew naturze. Ludzie doznają rozdwojenia z powodu obłąkanej formy kultu zwanej *wyznaniem*.

Ty i ja gubimy się w zagmatwaniu obrządku religijnego.

A wszystko to nazywa się *organizacją*.

Pomyśl o tym.

Pomyśl, jak to się ma do wielkiej wymiany pokoleń - do spraw przetrwania - dzięki czemu wszyscy pozostajemy sobą. Pomyśl, jak to się ma do pożywienia. Do sposobu mieszkania i ubierania się.

Do zdrowia.

Do miłości.

Próbujmy przypomnieć sobie, kim jesteśmy.

Wilf Pelletier

Tłumaczenie

Marek Maciolek

Na podstawie: *Who is the Charmer of this Meeting? A Collection of Essays* edited by Ralph Osborne. Neewin Publishing Co., Ltd. Toronto 1972, s. 1-20

# THE EASTERN DOOR

KANIEH'KEHIA:KA NA'KON:KE RONTENHIOHANONIHIA

## KAHNAWAKE MOHAWK TERRITORY

Niezbyt wiele osób w naszym kraju wie coś konkretnego na temat indiańskiej prasy w Ameryce Północnej. Poza uczestnikami spotkań przyjaciół Indian i niewielkim gronem specjalistów mało kto miał okazję wziąć do ręki współczesne indiańskie pismo. I - jeśli nie liczyć zasłużonego także dla Indianistów "Akwasasne Notes" (zob. "Tawacin" nr 1/92) - mało kto zapewne byłby w stanie podać jakieś tytuły gazet redagowanych przez Indian lub powiedzieć coś więcej o ich charakterze.

Tymczasem trudno chyba o lepszy, bardziej wiarygodny i wszechstronny sposób poznania życia współczesnych Indian, niż za pośrednictwem ich własnej prasy. W USA i Kanadzie wydawanych jest ponad pół tysiąca indiańskich periodyków - od tygodników po kwartalniki. Istnieją niemal w każdym rezerwacie (w niektórych jest ich nawet kilka) i w miastach zamieszkałych przez większą liczbę tubylczych Amerykanów. Wydają je rady plemienne, organizacje i stowarzyszenia społeczno-polityczne, indiańskie szkoły, związki wyznaniowe, ośrodki pomocy społecznej, domy kultury i osoby prywatne.

Z reguły są to lokalne pismka - biuletyny o skromnej szacie graficznej, niemal zawsze już robione komputerowo. Ukazują się one zazwyczaj w niewielkim nakładzie, od kilkuset do kilku tysięcy egzemplarzy, i przygotowywane są przez nieliczny personel (po części składający się zwykle z ochotników). Ich tematyka rzadko wykracza poza codzienne sprawy i problemy danej społeczności, a także - szerzej rozpowszechniane i poruszające bardziej uniwersalne tematy - magazyny, jak "Akwasasne Notes", "Wassaja/Indian Historian", czy "Many Smokes" (obecnie "Wildfire") należały zawsze do wyjątków.

Chociaż tylko nieliczne z nich mogą poszczycić się wieloletnią tradycją - większość tytułów nie istnieje bowiem dłużej jak kilka, kilkanaście lat - to jednak dzieje indiańskiej prasy liczą sobie ponad półtora stulecia. Już 166 lat temu, w 1828 roku, Czirokezi rozpoczęli wydawanie pierwszej dwujęzycznej gazety indiańskiej - pisma "Cherokee Phoenix". Ciężkie czasy, które nadeszły wkrótce dla pięciu Cywilizowanych Narodów sprawiły, że czasopismo to - drukowane częściowo w opracowanym przez czirokeskiego nauczyciela Sekwoję alfabetie sylabicznym - nie przetrwało długo. Od 1844 roku zastąpiły je kolejne, pisane już wyłącznie w języku Czirokezów, czasopisma - "Cherokee Messenger", a następnie "Cherokee Almanac" i inne.

Dziś niemal wszystkie indiańskie czasopisma redagowane są po angielsku, choć część zawiera też strony - lub specjalne działy - pisane po francusku lub w językach tubylczych (np. po irokesku, dakocku, a także - drukowane alfabetem Indian Kri). Ze względu na ilość oraz zróżnicowanie wydawanych obecnie tytułów nie możemy zaprezentować ich wszystkich, trudno byłoby też przedstawić jakąś ich bardziej szczegółową charakterystykę. Dlatego w celu - częściowego choćby - przybliżenia indiańskiej prasy spótnujemy posłużyć się dość typowym przykładem - dwutygodnikiem kanadyjskich Mohawków "The Eastern Door" (Wschodnie Wejście), a konkretnie jednym, dość przypadkowym jego numerem z 26 lutego 1993 roku.

Gazeta "The Eastern Door" wydawana jest od 31 stycznia 1992 roku w leżącym na południe od Montrealu rezerwacie Kahnawake, zwanym w nagłówku "Terytorium Mohawków" (co ma podkreślać niezależny, suwerenny charakter tej społeczności).

Rezerwat Kahnawake (o którym pisaliśmy m.in. w "Tawacinach" nr 13 i 15) jest najdalej na wschód wysuniętą z siedmiu społeczności Mohawków. Plemię to jest z kolei najbardziej na wschód wysuniętym członkiem Haudenosaunee - Konfederacji Sześciu Narodów - i dlatego pozostali Irokezi określają je jako Kanien'kehá:ka Na'kon:ke Rontehnohanonihna - Strażników Wschodniego Wejścia. I taki właśnie podtytuł nosi dwutygodnik z Kahnawake.

Gazetowy format A-3, komputerowy skład oraz czarno-biały druk (jedynie winieta drukowana jest w poszczególnych numerach innym kolorem) są typowe dla pism tego typu. "The Eastern Door" ma obecnie 20 stron (początkowo było ich 16). Ze stopki redakcyjnej dowiadujemy się, że dwutygodnik "jest" opartą na społeczności gazetą służącą Mohawkom z Kahnawake niezależnie od urodzenia, płci, wieku, języka, polityki, lub religii, z ambicjami bycia "rzecowym, wyważonym, godnym zaufania i ogólnie dostępnym źródłem informacji". Niełatwo to zadanie w podzielonej i nie cieszącej się sympatią sąsiadów społeczności.

Założycielem, właścicielem, wydawcą i redaktorem naczelnym w jednej osobie jest Mohawk Kenneth Astenhainton Deer, poprzednio nauczyciel, lokalny urzędnik i prywatny przedsiębiorca z Kahnawake. Gazetę tworzy w sumie blisko 20 osób, w tym dwóch grafików, dwoje fotografików i kilku stałych współpracowników. Roczna prenumerata pisma (26 numerów) kosztuje 39 dolarów, a jeden egzemplarz w kiosku - dolara. Gazeta dostępna jest w ponad 20 punktach w Kahnawake, można też nabyć ją w Montrealu, niedalekim miasteczku Lachine oraz w rezerwach Mohawków Akwasasne i Kanasatake.

Pismo podzielone jest na szereg działów tematycznych, opatrzone na każdej stronie odpowiednimi nagłówkami. Omawiany numer przynosi na pierwszej stronie obszerną, uzupełnioną zdjęciem, informację o sukcesie trzech hokejowych drużyn z Kahnawake w ogólnotubylczym turnieju w Maniwaki w Quebecu. Drużyny The Warriors (Wojowników) i The Old Timers (Weteranów) zwyciężyły tam w swoich klasach, a zespół The Knights of Columbus (Rycerzy Kolumba) awansował do półfinałów.

Wiadomości sportowe znajdują się też na dwóch ostatnich stronach pisma. Jest tam np. obszerna relacja z turniejem zaplanowanym, w którym drużyna Szkoły Przetrwania z Kahnawake czwarty rok z rzędu pokonała 8 innych szkolnych zespołów z rejonu Montrealu. Sprawozdanie z walk finałowych kończy informacja, iż zawodnicy będą sprzedawać po domach "Roczniki zapasnicze" w celu zebrania funduszy na wyjazd drużyny na mistrzostwa Quebecu. Artykuł "Lacrosse in 1993" informuje o powstaniu stowarzyszenia i ligi pięciu zespołów grających w tę tradycyjną grę Irokezów oraz planach jej popularyzacji wśród dzieci i młodzieży. Lacrosse znajduje się prawdopodobnie wśród czterech tradycyjnych gier, które po raz pierwszy wejdą w skład letnich mistrzostw Kanady. Podczas igrzysk odhędzie się też tradycyjne przyjęcie dla gości honorowych, a w tubylczym pawilonie kilka indiańskich i eskimoskich grup kulturalnych będzie prezentować opowieści i przedstawienia.

Pozostałe dwa artykuły z pierwszej strony pisma mają charakter polityczno-kryminalny i wiążą się z dramatycznym protestem Mohawków z lata 1990 roku i jego, widocznymi do dziś, następstwami. Gazeta pisze o postępkach wznowionego miesiąc wcześniej śledztwa w sprawie śmierci kaprala Marcela Lemaya, białego policjanta zastrzelonego w Oka 11 lipca 1990 roku podczas nieudanego ataku policji na Mohawków, którzy zajęli w Kahnawake leśny teren przeznaczony pod rozbudowę pola golfowego. Przesłuchiwanie świadków zeznawali, że policja uprzedziła niechętnych Indianom mieszkańców miasta o mającej nastąpić interwencji zbrojnej i potwierdzali powszechną wśród Mohawków złą opinię o ówczesnych władzach Oka.

Obok znalazł się ponadto początek obszernej relacji z comiesięcznego zebrania mieszkańców Kahnawake, które w lutym poświęcone było głównie sprawie kontrowersyjnego lokalu "Studio USA". Jego właściciel odmawia wystąpienia do Rady Mohawków z Kahnawake o zgodę na sprzedaż alkoholu i argumentuje to posiadaniem zezwolenia odpowiedniego organu władz prowincji Quebec. Dla wielu Mohawków jest to typowy przykład łamania obowiązujących w społeczności przepisów antyalkoholowych i jeden z dowodów ingerencji władz Quebecu w uprawnienia Rady.

Druga strona "The Eastern Door" zawiera, jak zwykle, aktualny komentarz redakcyjny, opatrzony rysunkiem satyrycznym (premiera Kanady Multo-neya "przykręcającego śrubę" do flagi Kanady). Komentarz dotyczy także śledztwa w sprawie śmierci M. Lemaya, a redakcja wyraża nadzieję, że przyczyni się ono do ujawnienia - i potępienia - podwójnego oblicza władz prowincjonalnych i federalnych Kanady. Z jednej strony prowadziły one bowiem - jak pisze redakcja - "rokowania" z Indianami, a z drugiej przygotowywały się do interwencji zbrojnej, co w efekcie doprowadziło do śmierci policjanta.

Na tej samej stronie zamieszczono też ciekawy przedruk z "The Mirror", którego autor, Cecil Adams, streszcza długą historię irokeskich robotników, zatrudnianych przy budowie mostów i wieżowców w USA i Kanadzie oraz usiłuje odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście nie mają oni lęku przestrzeni. Jego zdaniem nie wynika to - jak wielokrotnie pisano - z wrodzonych cech tubylców, ich wychowania wśród wysokich gór, czy też "nawyku stawiania jednej stopy przed drugą". Powołując się na badania etnograficzne Morrisa Freilicha z 1958 roku (w tym na doświadczenia nocny spędzonych z Mohawkami w barach Brooklynu), stwierdza on, że Indianie lubią tę niebezpieczną pracę - i sprawdzają się w niej - prosto dlatego, że jest ona bardzo "męska" i pozwala im na podtrzymywanie tradycyjnych wartości, które sam Freilich nazwał "etyką wojownika".

Kolejna strona z tekstami redakcyjnymi poświęcona jest nt.in. problemowi przymusowych przesiedleń kanadyjskich Inuitów, którym po 35 latach pozwolono wreszcie powrócić z dalekiej Północy na ich dawne ziemie (raport na ten temat zawiera opracowany przez szwedzką organizację IWGIA "Dokument nr 71"). Są tam też uwagi Kennetha Deera, który jako jedyny przedstawiciel tubylczej prasy uczestniczył w lutowej sesji Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie. Słuchał on wystąpień przedstawicieli tubylczych ludów, organizacji pozarządowych (zw. NGO) i przedstawicieli władz, związanych z proklamowanym w 1993 roku przez ONZ Rokiem Ludności Tubylczej. Nieliczni przybyli do Genewy - i dopuszczeni do głosu - reprezentanci tubylców (głównie kanadyjskich)

nie zamierzali jednak wygłaszać gładkich, "okolicznościowych" przemówień. Wykorzystali oni tę okazję do przedstawienia - przed pełną salą - problemów swoich ludów i oskarżeń pod adresem władz, dzieląc się swoim czasem z pozostałymi tubylczymi delegatami. Sam Kenneth Deer wdał się wówczas w dyskusję z reprezentantem Kanady, podczas której przypominał, że od ponad stu lat państwo to nie respektuje - mimo protestów Indian - wydawanych przez Długi Dom (wódców Konfederacji Sześciu Narodów) aktów urodzenia ani tradycyjnych małżeństw zawieranych przez Irokezów.

Kolejne cztery strony "The Eastern Door" to ogłoszenia i informacje lokalne, w tym dokończenia tekstów ze strony pierwszej. Są tam między innymi: podziękowania dla uczestników i organizatorów imprezy muzycznej "Country Jamboree" oraz zaproszenie na otwartą dyskusję o tubylczej duchowości z udziałem przywódcy Mohawków z Kanesatake, Johna Cree. Gazeta zapowiada wydanie książki Briana Maracle'a "Crazywater" - jednej z nielicznych przedstawiających problem alkoholizmu wśród Indian z ich punktu widzenia i pokazujących korzyści, jakie stwarza tradycyjna kultura i duchowość w okresie leczenia i abstynencji. Z kolei Centrum Oświatowe w Kahnawake zaprasza dorosłych Indian mających problemy z czytaniem lub pisanem na bezpłatne, dyskretne kursy dokształcające, zachęcając zarazem do pomocy w akcji ich rodziny i znajomych. Tuż obok Koło Uzdrawiania Rodziny proponuje tygodniowy kurs umacniania więzi rodzinnych i publikuje niektóre ze swych rad ("Miej szacunek dla wszystkiego, dla siebie, dla innych, dla naszego środowiska. Nie wystarczy o tym mówić, należy to robić!", "Nie bój się postępu - możemy próbować nowości bez zdradzania lub poświęcania naszej kultury.", "Nie bój się podążać za marzeniami, różnorodność to nie zło.", itp.).

Jak w każdym numerze, i w tym jest strona z tekstem w języku Mohawków (bez tłumaczenia) i rysunkową zagadką lub krzyżówką w tym języku dla dzieci, a tuż obok - informacja o gazecie wydawanej przez uczniów szkoły podstawowej Kateri (beatyfikowanej zakonnicy Mohawków) i ogłoszenie zachęcające do nabycia sprzętu komputerowego i oprogramowania.

Dwie środkowe strony pisma zajmuje Johny Beauvais i jego "Złote lata" - cykl autorskich wspomnień o życiu mieszkańców społeczności Kahnawake w pierwszej połowie XX wieku. Tym razem podczas wędrówki po rezerwacie autor wspomina miejsca i osoby, które pamięta z młodości, i które zapisały się już - bądź winny zapisać - w historii Kahnawake. Opisuje m.in. pierwsze pole golfowe i korzystających z niego graczy, pisze o nigdy-siejszych rogatkach, które - w przeciwieństwie do dzisiejszych posterunków "wojowników" Mohawków, powstrzymujących napływ "nieproszonych gości" - służyły do zatrzymywania stad krów i owiec w rezerwacie. Opisuje też stary amfiteatr i występujących w nim lokalnych artystów oraz wyjaśnia pochodzenie dwóch wielkich stałowych krzyży, stojących na skraju miasteczka (postawiono je w latach 30. dla podkreślenia katolickiego charakteru społeczności oraz w celu upamiętnienia śmierci 35 Mohawków z Kahnawake, którzy zginęli w 1907 roku podczas katastrofy na budowie mostu na Rzece Św. Wawrzyńca). Opis "Złoty lat" Kahnawake uzupełniają historyczne fotografie.

Najobszerniejszym - pełne trzy strony - i zapewne jednym z istotniejszych tekstów w prezentowanym tu numerze "The Eastern Door" jest szczegółowa relacja z genewskiej sesji Komisji Praw Człowieka ONZ. Zawiera ona skrótowne omówienia wystąpień polityków i przedstawicieli ludów tubylczych, w tym - laureatki Pokojowej Nagrody Nobla za 1992 rok Rigoberty Menchu.

Reklamy zajmują mniej więcej jedną trzecią objętości pisma (około siedem z 20 stron) i tylko w niewielkiej części zawierają "indiańskie" nazwy lub elementy graficzne. Z dwóch całostronicowych reklam jedna to ankietka dla słuchaczy radia K103 z Kahnawake (do wygrania kolorowy telewizor Samsung), druga - to zaproszenie do salonu meblowego z Chateauguay. Obok reklam księgarni Narodu Mohawków oraz sklepów z indiańskim rzemiosłem i biżuterią są też reklamy salonów samochodowych, sklepów z elektroniką i wypożyczalni kaset wideo. Obok zaproszenia do salonu "Mohawk Bingo" wydrukowano zniżkowy kupon na "włoską pizzę", informację o kursie prywatnej przedsiębiorczości i ogłoszenia drobne (w rodzaju "Oddam kotkę w dobre ręce").

Dwutygodnik "The Eastern Door" pisze więc o sprawach, które są przedmiotem codziennych trosk i zainteresowań większości współczesnych Indian z Kahnawake. Po jego treści widać dość wyraźnie, jak tradycja przeplata się tam ze współczesnością, jak Indianie usiłują rozwiązywać sprawy sporne, jak ich problemy znajdują analogie w innych tubylczych społecznościach kontynentu oraz odbicie na arenie międzynarodowej. Nieprzypadkowo pismo to już w 16 miesięcy od powstania otrzymało główną nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Tubylczych (NAJA) za serwis zdjęciowy oraz trzy wyróżnienia (ogólne wśród dwutygodników, za teksty redakcyjne i dla autorów karykatur).

Dla wielu z nas może się okazać zaskakujące, że tak mało "indiański" jest - oglądany na stronach indiańskiej gazety - obraz jednej z bardziej tradycyjnych i niezależnych tubylczych społeczności Ameryki Północnej. Może też zdziwić, jak wiele jest w jej codziennym życiu spraw, które znamy z własnego otoczenia. Czyżby dzisiejsi Indianie byli tylko cieniami swoich wielkich przodków? Czyżby w życiu Strażników Wschodniego Wejścia nie było już dziś nic ciekawego, oryginalnego, pouczającego? Czy to, co pozostało w nim z dawnej egzotyki i wspaniałości skryło się gdzieś pod powierzchnią szarej rzeczywistości? Czyżby także tradycja, kultura i religia Mohawków uległy zalewowi euro-amerykańskiej cywilizacji?

Nie sądzę, tak jak nie wierzą w to - i nie zgadzają się na to - ci, dla których wciąż żywe i nie pozbawione uniwersalnych wartości pozostają idee Długiego Domu i Wielkiego Prawa Pokoju. Ci wszyscy, którzy nie tylko od święta kierują się tradycjami i mądrością swoich przodków, którzy cenią własną autonomię, a zarazem odczuwają pokrewieństwo z innymi tubylczymi ludami Wyspy Żółwia. To oni - tak jak cytowany niedawno Oren Lyons - opowiadają o tym przy ogniskach, mówią na konferencjach i piszą w indiańskich gazetach. Ale o tym można się przekonać dopiero wtedy, gdy zechcemy nieco lepiej poznać prasę i cały świat Indian końca XX wieku.

Marek NowoCIEŃ

ADRES: "The Eastern Door", Box 326, Kahnawake, J01. 1B0, Quebec, Kanada

## WOJNA I SOJUSZ FRANCUSKO-INDIAŃSKI

W XVII i XVIII wieku relacje między tubylcami a Europejczykami w Ameryce Północnej kształtowane były na zasadzie sojuszy. We wczesnym okresie XVII wieku, gdy rozpoczynała się kolonizacja, europejskie mocarstwa weszły w strukturę istniejących już układów.

Holendrzy a później Anglicy związali się z Irokezami w Albany. Francuzi zawarli dwa układy (trzy - jeśli liczyć Luizjanę): pierwszy z plemionami Micmac, Abenaki, Passamaquoddy i Malecite, podpisany w Port Royal (późniejszy Louisbourg); drugi zawarty w Montrealu z Huronami i ich sprzymierzeńcami znanymi Wielkimi Jeziorami i leżącej niżej doliny rzeki Św. Wawrzyńca.

Przed wyznaczonym terminem spotkania z europejskimi partnerami, sprzymierzone plemiona indiańskie zazwyczaj zbierały się żeby ustalić wspólną linię postępowania. Zanim posłańcy udali się do Albany, członkowie Ligii Irokezów i ich sprzymierzeńcy (Mohican, Cherokee itd.) debatowali nad jednomyślnym werdyktem, co nie zawsze dawało się osiągnąć. Podobne spotkanie odbywali też Huroni ze swoimi sojusznikami, zanim udali się do Montrealu.

Po klęsce Huronów w 1649, francusko-indiański sojusz został odnowiony między czterema narodami: Wyandotów (Huronów i Tionontate), Człpewców, Ottawów i Potawatomi. Choć Ottawowie byli najważniejszym partnerem pod względem ekonomicznym, to ogólnie rady (sędziwa związku międzyplemiennego - red.) znajdowało się u Wyandotów albo w Macki-

nac, albo w Detroit. Do przymierza tych czterech plemion Francuzi dołączyli jako płaty partner.

Później do federacji przystąpiły inne jeszcze narody: Illinois, Miami, Stuksowie, Menominee, a na koniec także, Szaunisi (Szawanezi) i Delaware. Niektóre plemiona, na przykład Illinois, zawierały sojusz bezpośrednio z Francuzami, inne (Miami czy Stuksowie) przedstawiane były francuskiemu gubernatorowi za pośrednictwem jednego z głównych plemion założycielskich, które cieszyło się ogólnym poważaniem.

Po klęsce Francuzów w 1760 roku wszystkie plemiona indiańskie, sprzymierzone dotychczas z Francuzami, dołączyły - poprzez analogiczne porozumienia - do układu anglo-irokeskiego. Delegaci z konfederacji Wabanaków (plemiona Penobscot, Passamaquoddy, Malecite i Micmac), z siedmiu narodów żyjących w pięciu "redukcjach" w południowej Kanadzie, z Ottawy, a czasami też z plemion zamieszkujących obszar Wielkich Jezior spotykali się co trzy lata lub częściej w Kahnawake, które pełniło wówczas rolę stolicy regionu. Do czasu amerykańskiej wojny o niepodległość, Indianie ambasadorzy wszystkich plemion sprzymierzonych z Brytyjczykami, uczestniczyli we wszystkich obradach poprzedzających odnowienie układu z Albany.

Obok sojuszy militarnych Indianie zawierali też odrębne, konkurencyjne porozumienia z Anglikami i Francuzami, dotyczące handlu futrami. Pomijając te względy ekonomiczne, na charakter tubylezych ukła-

dów z Francuzami wpłynęły dwie główne przesłanki: wspólna niechęć do zwycięskich Irokezów oraz równie popularny wtedy strach przed brytyjskim ekspansjonizmem (dawnie "pochłonać ludzi" zamieniło się w "pochłonać ziemię").

Podczas gdy sprzymierzone, tubylcze narody i europejskie mocarstwa kolonialne współpracowały ze sobą na zasadzie wspólnych celów i wzajemnych potrzeb, zaczął narastać antagonizm wykreowany przez imperialną politykę, co nieustannie zagrażało równowadze sił między europejskimi i indiańskimi partnerami poszczególnych układów. Francuzi, choć nigdy nie odnieśli zwycięstwa, uparcie pracowali nad osłabieniem swych sprzymierzeńców, podczas gdy ci walczyli o ocalenie swej niezależności, obawiając się roli „konia pociągowego” Francji.

Badanie nazewnictwa daje nam klucz do lepszego zrozumienia politycznej struktury francusko-indiańskiego sojuszu. Na samym początku Francuzi stosowali średniowieczną terminologię z królem, wasalami i Indianami w roli służących. Także Anglicy stosowali przez krótki czas lat sześćdziesiątych XVII wieku podobne nazewnictwo, ale musieli zrezygnować, bo nikt tego nie przestrzegał. „Jak możemy mówić o królach i wasalach - napisał hiszpański obserwator w Louisbourg - skoro indiańskie plemiona są tak niezależne? Nie składają hołdu królowi Francji, przeciwnie - to właśnie król Francji daje im każdego roku prezenty.” To oczywiście, że takie nazewnictwo nie miało w Ameryce żadnych związków z rzeczywistością.

W jednym z obszernych raportów opisano rytualną część spotkania, towarzyszącą podpisaniu układu między Stuksami i Francuzami. Delegaci Stuksów przybyli do Montrealu na spotkanie z gubernatorem witając go rytualnym szlochem, powszechnym wśród wielu plemion. Tubyleczy ambasador, gorzko płacząc obejmował nogi dzieckiem francuskiego króla, który byłby wówczas ojcem plemienia. Pewna kobieta Stuksów pochylała swą głowę

i zanosząc się płaczem całowała stopy francuskich urzędników. W oczach francuskiej klasy rządzącej był to obraz bezradnych Indian, błagających o ochronę i dostęp do francuskiej cywilizacji.

W rzeczywistości były to zapewne rytualne wyrazy współczucia z powodu niedawnej śmierci kogoś bliskiego. Dopiero potem przystąpiono do negocjacji.

Znacznie częściej stosowano formy pokrewieństwa. Indianie nazywali gubernatora „ojcem”, a gubernatorzy nazywali Indian swoimi „dziećmi”. Obie strony zgadzały się z twierdzeniem, że należą do tej samej rodziny, więc zadaniem ojca jest ochrona i zapewnienie bezpieczeństwa. W tradycji francuskiej ojciec miał również prawo wydawania poleceń i prawo karania. Z tego powodu często dochodziło do nieporozumień. Indianie byli gotowi widzieć w francuskim gubernatorze opiekuna i dostawcę dóbr, ale mogli zaakceptować jedynie jego moralny autorytet. Co więcej, w matriarchalnym systemie pokrewieństwa u Huronów i Irokezów, ojciec nie miał duchowej władzy nad swoimi dziećmi, którą to władzę posiadali bracia matki. Niezależnie od systemu pokrewieństwa, Indianie ojcowie czy wujkowie byli uosobieniem miłości i autorytetu, ale nie mieli zlewającej władzy nad dziećmi.

Huronie nazywali żyjących z nimi misjonarzy „siostrzeńcami”, dając do zrozumienia, że są za nich odpowiedzialni, choć do roku 1649 traktowali Francuzów jako „braci” czyli równych sobie partnerów. Dopiero po rozbiegu plemienia zgodzili się uznać francuskiego króla za „ojca” i oddać Francuzi i Huroni byli „braćmi” z tej samej rodziny. Symbolicznie Huroni uznawali władzę francuskiego gubernatora, ale nigdy nie posunęli się do uznania jego praw do karcenia ich czy wydawania poleceń. Władza ta oznaczała raczej prestiż aniżeli rzeczywisty wpływ na takie czy inne posunięcia. Potwierdza to stosowanie tytułów pokrewieństwa.

Kiedy wielki wódz Huronów Kondiaronk zauważył, że „Jesteśmy ludźmi z tego samego długiego domu, mamy ten sam ogień, tego

samego ducha" - podkreślał ideę równości między partnerami. W tym samym okresie wódz Ottawów z kolei wyjaśniał Francuzom, czym różni się ich struktura polityczna od zwyczajów tubylców: "Myślicie, że będziemy zachowywać się tak samo jak Francuzi - no cóż, w naszym społeczeństwie tak nie jest i choć wydajesz mi rozkazy, ja nie mogę uczynić nic innego, jak pójść do moich ludzi i naradzić się z nimi. Nie mogę zmusić moich ludzi, żeby się podporządkowali. Najpierw musimy dojść do porozumienia."

Rzecz jasna, hierarchia nie miała dla Indian tego samego znaczenia co dla Francuzów i tubylcy z trudem pojmowali rolę swego ojca w Quebec, jaką pełnił społeczeństwie patriarchalnym.

Znaczenie wzajemnie stosowanych tytułów było inne dla każdej ze stron. Po części wynikało to z różnych koncepcji władzy, autorytetu i hierarchii, jakie wypracowali Indianie i Europejczycy. Na północnym wschodzie tubylcze społeczności opierały się na zasadzie systemów wymiany stanowisk, przedmiotów i usług. Obieg obejmował wszystkich i każdy miał dostęp do tych dóbr. Pozycja wypracowana lub odziedziczona musiała być utwierdzona podarkami i dzieleniem dóbr. Cała przyjemność i prestiż polegały na dawaniu.

Zupełnie inaczej sprawa wygląda w społeczeństwach europejskich, w społeczeństwach państwowych i klasowych, gdzie przyjemność i prestiż leżą w gromadzeniu dóbr. Oczywiście nie istnieje społeczeństwo bez systemu wymiany dóbr - wymiana to czynnik wpływający na powstawanie społeczeństw.

W społeczeństwach klasowych obieg nigdy nie obejmuje wszystkich - wspólnota zostaje zerwana. Dobra, stanowiska i usługi nie krążą swobodnie między wszystkimi członkami społeczeństwa, występują za to różne obłegi; niektóre dostępne są dla wszystkich, inne dla większości, a jeszcze inne tylko dla wybranych. Dlatego istnieje bogactwo i bieda, dlatego powstaje nierówność; pozycja i prestiż to dobrobyt i władza. Prawo podtrzymywane jest san-

kcjami, a państwo i armia to kamienie węgłne wiążące cały ten system.

W społeczeństwach tubylczych cała struktura polityczna opierała się na prestiżu, a nie na sile. Władza wodzów leżała w ich umiejętnościach przekonywania (celem osłabienia porozumienia) i dzielenia dóbr w taki sposób, aby każdemu dobrze się żyło.

Dlatego Indianie widzieli w francuskim gubernatorze przywódcę, który będzie wyścigać się do siły, żeby połączyć ludzi, podtrzymywać w nich ducha oraz zapewnić bezpieczeństwo i dostęp do towarów handlowych. Dla Indian gubernator był przywódcą, który zdobyłby ich lojalność dzięki swej wielkoduszności, poświęceniu, odwadze i poczuciu odpowiedzialności.

Sojusz miał utwierdzić handel wymienny: futra za towary. Indianie oczekiwali, że Francuzi będą sprowadzać i dostarczać swe towary regularnie i w dobrej jakości. Chcieli ponadto mieć kowala w swej wiosce albo w najbliższym forcie, żeby naprawiał im broń i wyrabiał narzędzia, stosownie do indywidualnych potrzeb.

Sojusz miał również aspekt religijny. Przy wielu okazjach Indianie tłumaczyli Francuzom, że sprzymierzeniecy powinni dzielić się duchową mocą. Wielu tubylców czuło, że ich bogowie nie są tak potężni jak bogowie Europejczyków. Uwaga ta odnosiła się do selektywnego charakteru epidemii, które zawsze zbierały większe żniwo pośród Indian niż u Europejczyków.

Choć Indianie nigdy nie obdarzyli gubernatora patriarchalnym autorytetem, to gotowi byli uznać go za przywódcę. Nikt nie śmiał wypowiedzieć wojny czy podpisać traktatu z wrogiem bez zgody gubernatora. Gdy Francuzi sądzili, że mogą wydawać rozkazy, które będą wykonywane, Indianie oczekiwali, że gubernator zachowa się jak ich tradycyjny wódz i całkowicie poświęci się budowaniu porozumienia na drodze spotkań, dyskusji i dobrego przykładu. Nie dziwnego, że Francuzi uważali Indian za nieposłusznych i krnąbrnych. Aby dowiedzieć się, jakie polityczne wzięły kęczyły In-

dian i Francuzów należy bardzo ostrożnie podchodzić do materiałów źródłowych. Korespondencja między Quebec a Wersalem często przynosiła zarówno marzenia o posłusznych dzikusach, wdzięcznych za przynależność do królestwa Jego Wysokości, jak i wizje brutalnych i barbarzyńskich plemion, nieustannie czyhających na Francuzów, żeby ich zarżnąć. Nie wolno mieszać sprawozdań służalczych administratorów w koloniach z rzeczywistością. Więcej obiektywizmu można znaleźć w korespondencji gubernatorów z oficerami w jednostkach wojskowych i punktach handlu futrami - na przykład korespondencja z 1721 roku między Detroit i Quebec dobrze naświetla charakter kontaktów Indian z Francuzami.

W 1721 roku gubernator Detroit zwołał wodzów z trzech wiosek położonych w pobliżu fortu, aby przekazać im zarządzenia, jakie nadeszły z Quebec. Indianie wysłuchali w milczeniu aż skończy czytać, po czym mówca Huronów odpowiedział krótko: "Rozważymy twoje propozycje i wkrótce damy ci odpowiedź". Trzeba sobie jasno zdać sprawę z trzech punktów:

1. Zarządzenia przysłane z Quebec odebrane zostały jako propozycje;
2. Indianie delegaci nie podjęli żadnych decyzji bez konsultacji ze swym ludem;
3. Indianie chcieli zwołać własną konferencję.

Indianie spotkania odbywały się przeważnie bez udziału francuskich obserwatorów, choć mogli oni mieć tam swoich szpiegów.

Odpowiedź Indian nadeszła w dwa dni później, w formie bardzo długiej i rytualizowanej przemowy. Pierwsze zarządzenie - lub propozycja - o zakazie sprzedaży alkoholu w Detroit, spotkało się z następującą odpowiedzią Indian: "Możecie zakazać handlu wódką, jeśli tego chcecie, ale już przyzwyczailiśmy się do niej, więc pójdziemy kupić ją u Anglików". Drugie zarządzenie (propozycja) dotyczyło wyprawy wojennej przeciwko Lisom. Odpowiedź brzmiała: "Nawet gdybyśmy przystali na wojnę, nie rozpoczęłaby się ona przed wielką radą wszystkich narodów sprzymierzonych z Francuzami. Nie mamy jednak zaufania do Francuzów, gdyż poprzednim razem zawarli oni pokój z Lisami bez konsultacji z nami." Choć Indianie uznawali prawo gubernatora do podjęcia inicjatywy, to jednak ani wypowiedzenie wojny, ani zawarcie pokoju nie mogło się odbyć bez zgody tubylczych sprzymierzeńców.

Dla ludów tubylczych sojusz z Francuzami nigdy nie zakładał wyrzeczenia się suwerenności. Przy wielu okazjach Indianie zwykli mówić: "Ta ziemia należy do nas, nie będziecie nas zmuszać do przenoszenia się z miejsca na miejsce, nie możecie sprzedawać naszej ziemi czy wymieniać ją z innymi europejskimi mocarstwami." Abenakowie byli bardzo źli na Francuzów, gdy dowiedzieli się o odstąpieniu



Acadli Anglikom w 1713 roku. Powiedzieli bez ogródek: "Jak możecie handlować czymś, co do was nie należy?" Takie samo stanowisko zajęli Irokezi, gdy poinformowali Bellomonta, gubernatora Nowego Jorku, że są panami swej ziemi. Gubernator nie miał większej władzy od innych wodzów w całym sojuszu, nie był też właścicielem ziemi.

Gubernator, obdarzony przez Indian skich sprzymierzeńców przywilejami analogicznymi do tych, które posiadał wódz Indiani, wywierał moralny wpływ proporcjonalnie do stopnia zdobytego prestiżu. W dziedzinie ekonomii gubernator nie mógł zdobyć silnej pozycji, a to z powodu ogólnie znanej niskiej jakości francuskich towarów i handlu. Ceny francuskich towarów były generalnie wyższe od angielskich, choć pod względem jakości często im ustępowały. Ponadto w okresie wojny, francuskie dostawy były nieregularne, gdyż Brytyjczycy sprawowali kontrolę nad drogami morskimi. Imperialne zapędy Francuzów nie szły w parze z ich ekonomicznymi możliwościami. Politycy domagali się sojuszy z możliwie największą liczbą plemion. Ponieważ plemiona koncentrowały się na handlu futrami, to im większe sukcesy odnosili Francuzi na polu dyplomatycznym, tym Indianie mieli większe problemy ze sprzedażą futer. Kiedy pod koniec XVII wieku rynek został już całkowicie nasycony futrami, Francuzi musieli po 1697 roku zamknąć na płótnaście lat większość swych punktów skupu.

Ekonomiczna niesolidność Francuzów zmusiła Indian do zapewnienia sobie nowych rynków zbytu. W 1699 roku kupili sobie z zamykania francuskich punktów skupu, zanosząc futra angielskim handlarzom do Charleston, a później do punktów Hudson Bay Company i kolonii środkowoatlantyckich. Wykorzystując rywalizację europejskich mocarstw, Indianie uniknęli wyłącznej zależności od jednego europejskiego partnera i zmusili Francuzów do postawienia korzystniejszych warunków handlowych.

Aby utrzymać swą imperialną politykę, rząd francuski musiał bezpośrednio

włączyć się w handel futrami. W XVIII wieku jego działania skupiły się na zapewnieniu francuskiemu handlowi konkurencyjności. Ponieważ możliwości ekonomiczne Francuzów były ograniczone, jedyne rozwiązanie leżało w subwencjonowaniu handlu. Rząd asekurował koszty utrzymania infrastruktury handlu futrami poprzez budowanie jednostek wojskowych, magazynów i dawanie licznych prezentów swym sprzymierzeńcom. W takich warunkach sojus francusko-Indiani funkcjonalny na polu ekonomicznym. Większość skór z Ameryki Północnej przechodziła przez Quebec. Niemniej jednak Indianie sprzymierzeni z Francuzami zawsze utrzymywali alternatywne układy handlowe, co zapewniło im stosunkowo duży stopień niezależności.

Sojusz wojskowy miał na celu całkowite zapewnienie bezpieczeństwa obu partnerów. Ponieważ Francuzi byli mniej liczni niż Indianie i mniej liczni niż Anglicy koloniści, ich potęgą musiała oprzeć się na sojuszach z Indianami. Potęga ta zbudowana została nie na posłuszeństwie sprzymierzeńców, ale na umiejętności Francuzów do sprawowania przywództwa i uzyskiwania przychylności tubylców do swych dążeń. Francuscy gubernatorzy i oficerowie nie mogli zmusić swych sprzymierzeńców do rozpoczęcia wojny i w wielu przypadkach Indianie postanawiali nie przyłączać się do działań wojennych Francuzów. Mimo to sojusz okazał się na tyle silny, aby pokonać Irokezów u schyłku XVII wieku i powstrzymać angielską kolonizację aż do 1760 roku. □

(dokończenie w następnym numerze)

Tłumaczenie  
Małgorzata Tomczyk

Artykuł pochodzi z wydawanego w Austrii magazynu EUROPEAN REVIEW OF NATIVE AMERICAN STUDIES, 1991, vol. 5, no. 1.

Marek Fiedler

## Oaza egzotyki w Puszczykówku

Ojciec mój, pisarz-podróżnik Arkady Fiedler, przywoził ze swych licznych wędrowek po świecie nie tylko materiały literackie, ale także różnorodne egzotyczne eksponaty i trofea. Zaciekawieni czytelnicy przyjeżdżali do Puszczykówka, żeby zobaczyć jego zbiory. W zasadzie te skarby chowaliśmy w walcach na strychu. Żywe zainteresowanie pamiętkami z podróży doprowadziło do utworzenia w 1974 roku stałej ekspozycji w naszym domu rodzinnym. Tak narodziła się w Puszczykówku pod Poznaniem, w sercu malowniczego Wielkopolskiego Parku Narodowego, Muzeum-Pracownia Arkadego Fiedlera.

W pobliżu wejścia wita przybysza popiersie wielkiego wodza Siuksów, Szalonego Konia. Pomnik bohatera wojny Indiani jest jak gdyby symbolicznym drogowym znakiem naszej placówki, wyznaczającym jej drogę sympatii i solidarności ze wszystkimi pokrzywdzonymi ludami na świecie, zwłaszcza z Indianami.

W parku otaczającym budynek znajduje się unikatowa kolekcja rzeźb, będących wiernymi replikami w skali 1:1 słynnych pomników dawnych kultur. Wzrok przykuwają zwłaszcza takie dzieła jak monumentalna Brama Słońca z Jazłowa Tłucza w Boliwii, osobliwa Głowa Olmeka i posąg Tolteka z Meksyku, tajemniczy, ogromny Moai z Wyspy Wielkanocnej, czy też postać zwana Chac Mool, reprezentująca kulturę Majów z Jukatana. Są tu także kopie słupa totemicznego Indian Kwakwaka oraz kanu Algonkinów z kory brzoźowej.

Repliki dzieł z wielkim pietyzmem wykonał zaprzyjaźniony z naszą placówką polski artysta plastyczny: Zygmunt Konarski i Marian Witczak, natomiast pomnik Szalonego Konia wyszedł spod dłuta rzeźbiarza Adama Jezle- rzańskiego.



Po przekroczeniu progów Pracowni, w środku Muzeum, widać jak gdyby syntetyczny obraz całego życia pisarza i podróżnika. W kilku pomieszczeniach zamyka się barwny świat, zbiegają się kontynenty.

Centralną ścianę całą zastawioną książkami ojca nazywamy sercem Pracowni. Kolorowe wydania w różnych językach promieniują na zgromadzone eksponaty, rzucają na nie blask osobistych przeżyć autora i ożywiają trofea.

Mego ojca szczególnie fascynowały motyle - można obejrzeć u nas okazy z całego świata. Są piękne Morpho z Amazonii, o których mówił, że widzi w nich zawsze stłoczone niebieskie toni wszystkich oceanów, lazur nieba, który spłynął w ich skrzydła. Są Calliope ludzkiego przypominające rysunkiem głowę sowy. Jest wiele innych, jak choćby motyl

śmierci z Madagaskaru; tubylcy twierdzili, że źle go zobaczyć, bo przynosi nieszczęście. U nas się to nie sprawdza...

W Pracowni mamy wielkie jadowite pajaki ptaszniki, skorpiony, kajmany i krokodyle nilowe, skórę boa dusiciela rozwieszoną na całej długości ściany i okazałą skórę czarnego niedźwiedzia, upolowanego przez Algonkinów w Kanadzie, mamy szczątki rekina-ludojada, piranie, mlecz ryby pily... Podziw wzbudzają piękne muszle z mórz i oceanów całego świata.

Ojciec mój potrafił zdobyć zaufanie i przyjaźń wielu ludów Indianińskich. Na kolekcję Indianińską składają się rzeźby i zdobne koce, flety, łuki, oszczepy i dmuchawka ze strzałami zatrutymi kurarą. Są też trofea z ludzkich głów - *tsantse*. Jeszcze sto lat temu takie głowy preparowali wojowniczy Indianie Hilaro; nasze są imitacją ze skóry zwierzęcej.

Dużo mamy Afryki, najwięcej rzeźb i masek obrzędowych. Najciekawsza z masek, przedstawiająca twarz zakorzoną długim łańcuchem, została wykonana z jednego kawałka drewna. Tę rzeźbę powinien dotknąć każdy przybysz, bo to talizman szczęścia...

Trudno wymienić wszystkie eksponaty. Jedno jest pewne: wszystkie mają dla nas szczególną wartość emocjonalną, z każdym wiąże się jakieś żywe wspomnienie, często niezwykła przygoda.

Muzeum jest placówką prywatną (bodaż jedyną taką w Wielkopolsce, a może i w Kraju). Często spotykam się z pytaniem, czy zdane wyłącznie na własne siły Muzeum może przetrwać. Może! - dzięki licznym przyjaciółom rozslanym po Polsce i świecie! Dziękuję tysiącom przybyszów odwiedzających nas każdego roku. Ich serdeczność okazała się skutecznym antidotum przeciw wszelkim kłopotom.

Kolekcje eksponatów nieustannie wzbogacamy pamiątkami z naszych (mego brata Arkadego Radosława i moich) kolejnych podróży.

Na miejscu można również zakupić nasze książki, różne egzotyczne drobiazgi i pocztówki.

Marek Fiedler

Muzeum-Pracownia Literacka Arkadego Fiedlera w Puszczykowie pod Poznaniem czynna jest od wtorku do soboty w godz. 10.00-13.00. Tel. Puszczykowo (0-61) 133-174. Serdecznie zapraszamy!

## Arkady Radosław Fiedler

### Oczami Indian

Obecnie w Kanadzie jest około dwustu pięćdziesięciu tysięcy Indian. Przeważająca większość żyje w blisko 2200 rezerwach. Jacy są ci dzisiejsi Indianie? Jak żyją, o czym myślą? Temat dla mnie ciekawy, bo kocham Indian i szanuję za ich niezwykłą historię, cierpienia i męstwo.

O Indianach napisano tysiące stron, nakręcono setki filmów. Zdawać by się mogło, że poznaliśmy Indianińskie życie i zwyczaje jak swą kieszeń, że brązowoskóra rasa ludzi, prześwietlona rentgenem naszej ciekawości, stała się dla nas zrozumiała i czytelna jak słońce na niebie.

Jednak tak nie jest. Do Indian przykładamy miarę naszych sukcesów i naszej filozofii życia. Dlatego, na przykład, często nie rozumiemy, czemu większość z nich stroni od białych i woli cierpieć nędzę, głównie duchową, w rezerwach. Przecież dzisiejszy biały w Kanadzie mniej lub więcej wyciąga rękę do Indianin proponując mu wyjście z rezerwu, załatwienie pracy i odpowiedniej edukacji w mieście.

Lecz tu dzieje się rzecz na pozór nieprawdopodobna, paradoksalna. Indianin zamiast wydać radosny okrzyk zwycięstwa, że nareszcie koniec smętnych, rezerwatowych czasów, staje dęba. Najczęściej nie chce opuścić rezerwu. A rezerwat, nie zapominajmy, był wskaźnikiem nienawidzonym miejscem, w którym (po stronie USA) jeszcze sto lat temu często przemocą zamykano milujących wolność Indian. Biali dziś, po stu latach, roztacza

kuszające wizje lepszej, nierzewatowej przyszłości, biali namawiają do wyjścia, biali agituje, biali proszą i usilnie ich, kokietuje i obiecuje - i nie: niewzruszony Indianin nadal siedzi kółkiem w rezerwacie. Podobno tak czyni 90% Indian w Kanadzie.

Rozmawiałem o tym z kilkoma Indianami, którzy niedawno zrezygnowali z wcale nieźle płatnej pracy w mieście, by powrócić do swych skromnych wiosek w lasach Ontario. Wrócili na łaskę rządowych zapomóg, jako że z zatrudnieniem w rezerwach wyjątkowo krótko. Wrócili do marazmu i apatii, jakie panują w większości rezerwatów. Dlaczego tak postąpił? Jacyś samoudręczyciele?

Nie sądzę. Richard Egawe, trzydziestoletni Odżibwej, dał drapak z miastą po trzech miesiącach, bo nie znieśli mijskim stresem. Henry Waloose to samol Richard Shewily i inni - podobnie! Tłumaczyli, że nawalili im nerwy, ogarnęła frustracja. Beton, kamień i hakas, słowem: burzliwa cywilizacja białych, okazała się dla nich ciężarem nie do udźwignięcia, mimo że początkowo, mając po uszy rezerwatowej nudy i wałęsania się bez celu, bardzo chcieli się włączyć w ów rwący nurt.

Mówił mi Richard: *Miasto, nawet najpiękniejsze, nawet najbogatsze nie umyja się do lasu. Życie w mieście było dla mnie sztuczną egzystencją. Ludzie w mieście nie czują ziemi pod nogami. Gdy ludzie żyją z dala od miejsc stworzonych przez naturę, to zapominają o jej prawach. Las wpała człowiekowi wrażliwość. Beton wysysa duszę. Z lasem umiem rozmawiać, z betonem - nie umiem. Zauważyłem, że wy, biali ludzie, macie wielki kult dla swych kamiennych budowli i pomników, chociaż nierzadko kłóćcie się na życie w miastach i chcieliście się z nich wyrwać. Ale w rzeczywistości wasze miasta z każdym dniem wzbierają nowymi ludźmi. Bo wy już bardzo dawno temu odsunęliście się od lasu. Puszcza i zwierzęta w niej żyjące wydają się wam groźne i dzikie. Dla nas, leśnych Indian, puszcza nigdy nie była dzika, bo rozumieliśmy ją i kochaliśmy. Zwierek był naszym bratem, a ziemia, tnaczej niż u was, miała wartość ponad materialną, była częścią naszej oso-*

*bowości i źródłem życia. Była matką. My, Indianie zbyt gwałtownie zerzyliśmy się z waszym pędem, waszą techniczną cywilizacją i waszym głośniejącym miastem - i to nam zaszkodziło. My jeszcze ciągle jesteśmy ludźmi przyrody, mimo że na ośm już od dawna z przyrody nie żyjemy.*

Richard Egawe mieszkał w wiosce Batchawan, na północnowschodnim wybrzeżu Jeziora Górnego. Miał sympatyczną twarz, a oczy rozumne, szczerze. Nosił na nogach wysokie buty skórzane z dużym obcasem, przywlezione z miasta. Lubiał paradować w tych butach - cymesie westernowej elegancji. Ale lubił je także często zdejmować z nóg, chociaż buty - jak twierdził - były bardzo wygodne i nóg nie uwieraly. Bose stopy posypywał obficie piaskiem, ogrzanym słońcem, czyniąc to z pewnym namaszczeniem. Myślałem, że to poza, jakieś manifestowanie na siłę związków z ziemią-matką. Ale chyba nie. Ową chęć dotykania ziemi gołą skórą miał Richard najprawdopodobniej głęboko wrytą w swoje geny. To była spuścizna po jego przodkach wierzących w uszlachetniającą moc ziemi; ziemi, której nie grodzili żadnym płotem, która nie była na sprzedaż, bo należała do wszystkich Indian. Młody Odżibwej na szale swej życiowej wagi położył beton i ziemię. Ziemia przeważała.

Słowa te piszę w nabrzmiałym chęcią życia puszczykowskim ogrodzie. Nade mną urzekające, czyste niebo o pięknym kolorze tycjanowego błękitu. Dokoła mnie tęgie krzewy i drzewa, wesołe w słońcu, szalone w bujnym rozwoju. Do wystrzału wangi-howskim kwiatem sprężają się słoneczniki. Do nie przegapienia takiej chwili szykują się ludzie w ogrodzie. Wspaniała jest przyroda o tej porze roku.

Czekaliśmy teraz na jedną krótką chwilę być Indianinem, mieć jego oczy i jego duszę. Tym oczyma i tą duszą Indianińską chcieliśmy chłonąć otaczający mnie świat przyrody. Co bym zobaczył, co przeżył? O jakie nowe, niezwykłe wartości wzbogaciłbym siebie?

Przedruk z Gazety Poznańskiej z 1979 roku.

## Ważniejsze niż wszystko na świecie

To było ważne. To było ważniejsze niż wszystko na świecie.

Parę dni temu chodził wieczorem po plaży w San Diego. Przybiegł do niego jakiś pies i obwąchał mu spodnie.

- Cześć, stary - zagadnął.

Pies, niemiłe owczarek spojrzał na niego, zamerdał ogonem i puścił się w podskokach z powrotem do pary, która przywoływała go ręką.

Z brzegu było widać jakieś światła w oddali. Łódź albo platforma wlewnicza. Światła huśtały się to w górę, to w dół. Na horyzoncie wisłały ciemne, stalowe chmury. Było tuż po zachodzie słońca.

Wiedział, że Kalifornia nie jest dla niego. Wiedział, że może tam mieszkać, choć było to wręcz niemożliwe. Wiedział to od dawna, ale są sprawy, które stanowczo odrzucał, sprawy, o których wiedział.

Wczoraj zarezerwował miejsce w autobusie jadącym na wschód. Wczesnym rankiem siedział już na dworcu w Phoenix. Próbował pograć się w lekturze współczesnych opowiadań amerykańskich. Żadne jednak nie przemówiło do niego znajomym językiem. Zdania i słowa były tylko zdaniami i słowami.

Słońce wschodziło, gdy autobus wtoczył się na parking Howarda Johnsona w Gallup, w Nowym Meksyku. Nałagając na siebie drelchową marynarkę do ochrony przed zimnym marcowym wiatrem wysiadł z autobusu. Zadygotał z zimna. Wątle pomarańczowe słońce wspinało się po ciężkim szarym niebie.

W autobusie z Phoenix wdał się w rozmowę z kobietą, która zajęła wolne miejsce koło niego. Powiedział jej o psie na plaży w San Diego. Była nauczycielką francuskiego w Albuquerque. Na śniadaniowym posto-

ju u Howarda Johnsona znaleźli wolny stolik i ciągnęli dalej swą rozmowę.

- Rytuał ma dla mnie duże znaczenie - powiedział. - Codziennie rano staram się robić pewne rzeczy, mam nadzieję, że nie tylko siłą przyzwyczajenia, ale z pełną świadomością. Usiłuję im potem nadać sens w codziennym działaniu, czyniąc z nich ważną część tego, co robię każdego dnia.

- Moja babcia codziennie rano chodziła na Mszę św. - powiedziała nauczycielka francuskiego. - To był jej rytuał. Nie sądzę, abym robiła coś bardzo rytualnego. Myję zęby, chodzę do ubikacji, rozczesuję włosy, robię grzanki i kawę. Takie zwykłe rzeczy, nie wydają mi się zbyt ważne.

Zamówili jajecznicę, grzanki i kawę. Przyglądał się kobiecie o długich, ciemnych włosach, śledzącej parę stoliczków dalej. Miała czerwoną sukienkę i naszyjnik z muszlą, która ostro odbijała się na tle czerwieni. Pamiętał, co żona mówiła mu na temat czerwonych sukienek.

Zamyślił się trochę, a potem powiedział.

- Modłę się, przeważnie się modłę. Można to robić w każdej chwili, w każdym miejscu. Potrzeba mi tego.

Pamiętał te modlitwy pełne rozpaczliwych nle, które poranki. Pamiętał napęte nerwy, staranie w tych dniach niepewności. Pamiętał to uczucie, jakby pierze zatykało mu gardło. Czasami nle miało to nle wspólnego z rytuałem, modlitwa była koniecznością.

Gdy pasażerowie skończyli śniadanie, autobus znów się wypełnił. Przed nim był ostatni odcinek autostrady. Wkrótce wrócił tam, skąd wystartował. Kalifornia była już tylko wspomnieniem. Patrzył przez okno autobusu.

Gdy podjechali na przystanek w Gallup, jakaś Indianka przechodziła akurat przez ulicę. Kilku mężczyzn szło za nią z tyłu, czekając aż znajdzie odpowiednie miejsce. Pod pachą ścisnęła butelkę w papierowej torbie. Miała na sobie szaryną zieloną bluzkę i długą spódnicę. Wyglądała staro, a bruzdy na jej twarzy robiły wrażenie, jakby ta starość z niej zwisała, i smutek też.

Mężczyźni skupili się wokół niej, a ona otworzyła torbę. Kilkanaście osób z autobusu przyglądało się z ciekawością temu rytuałowi Indian. Gdy opadł ciężko na swe miejsce, rzucając ukradkowe spojrzenia, usłyszał przychłanie paru pasażerów.

To było ważne. Widział siebie w zwierciadle pamięci. Była to inna osoba, jaką ujrzał, ale tak bardzo przypominała mu jego samego, że prawie nie mógł się oderwać od tego widoku. Sprawdzał każdy szczegół i odkrył, że spogląda przestraszony z błyskiem w oczach.

- Zdając sobie, rzecz jasna, sprawę, że to jest ważne - wtrąciła się nauczycielka. - Uwaga, że proces uczenia się dziecka związany jest całkowicie z kondycją kultury, w jakiej dorasta. Dziecko nie pozna istotnych wartości, jeżeli kultura mu tego nie umożliwi.

Nie to miał w głowie. Myślał o Indiance i mężczyznach pochłaniających z jednej butelki wino pod ścianą dworca autobusowego w Gallup. Myślał o ucieczce z południowej Kalifornii.

- Ludzie uczą się poprzez naciski, jakie się na nich wywiera - odparł. - Czasami tylko dochodzą jeszcze jakieś predyspozycje, na tym polega proces uczenia się.

Słońce wstępowało na przedpołudniowe niebo. Już niedługo znajdą się blisko jego domu, gdzie spędził dzieciństwo. Zaniknął oczy i próbował zasnąć. Nauczycielka francuskiego drzemała przechylając się w jego stronę.

Pachniała trochę potem i słodkawymi perfumami. Próbował ją delikatnie odepchnąć, nie chcąc przerywać jej snu, ale zaraz otworzyła oczy, uśmiechnęła się i przysunęła jeszcze bliżej. Była bardzo ciepła.

Autobus mknął przez jego rodzinne strony. Chciał ją zbudzić i wszystko wytłumaczyć, ale była pogrążona w głębokim śnie, więc zrezygnował. Uparcie wpatrywał się na podłogę, gdzie był jego dom dzieciństwa. Szukał chłopca idącego do ogrodu albo na pole, na które wkrótce padnie wiosenny śnieg.

Kobieta przebudziła się, spojrzała na niego i przywarła do jego ramienia. Po chwili otworzyła swe zaspane oczy, wyciągnęła do niego rękę i zacisnęła palce na jego dłoni. Trzymała ją delikatnie, ale pewnie.

Śniło mi się - zaczęła. - Było mi tak ciepło i tak... tak wygodnie.

Przysypiał trochę i popatrzył na nią przez chwilę. Położył rękę na jej dłoń. Czuł, że chce się do niego przytulić.

- Możesz się posunąć? - spytała ścisnął ją ciągle jego rękę.

- Nie - odparł potrząsając głową.

Gdy autobus zatrzymał się na dworcu w Albuquerque, zaproponowała.

- Chodź do mnie.

Powiedziała to stanowczym głosem, nawet powtórzyła.

- Chodź do mnie.

- Nie - upierał się. Wiedział, że jego żona nie wie o tym, że wraca do domu. Wiedział, że nie chce go widzieć. Powiedział jednak „nie”. Było to ważniejsze niż wszystko na świecie, to słowo „nie”.

Przeł. Marek Maciołek

Na podstawie: *Flyttn' New and collected short stories*. Thunder's Mouth Press, New York-Chicago 1983, s. 56-58.

## Przygotowania

pałeczki które trzymam wyciąłem przy strumieniu. właśnie stamtąd wróciłem. posłuchałem co strumień ma do powiedzenia światła, złożyłem modlitwę a potem wzięłem noż i wyciąłem te pałeczki. trochę mi smutno, że pozostawiam otwarte rany na żywym organizmie, ale modlitwa uśmierzyła go nieco. dzięki modlitwie wszystko stało się możliwe, mówił wujek. nim odszedłem znowu słuchałem słów, jakie szeptał strumień, czułem jego smak, który także jest słowem. a potem zrobiłem wiązki z pałeczek i poszedłem do domu, a każdy krok modlitwą za ten poranek i bezpieczny powrót. syn jeszcze śpi pogrążony w swej niewinności, żona krząta się w kuchni, a ja czynię te przygotowania. chcę tchnąć modlitwę w te pałeczki jak uczyli bogowie.

# SIMON J. ORTIZ

SIMON J. ORTIZ - ur. 1941 w Acoma Pueblo - tubylczej społeczności koło Albuquerque w Nowym Meksyku. Uczęszczał do rządowej szkoły na terenie rezerwatu Acoma. Był uczestnikiem International Writing Program na Uniwersytecie stanu Iowa (gdzie spotkał się z Janem Józefem Szczepańskim - zob. *Koniec westernu*, rozdz. 3. Warszawa 1971.) Poeta, pisarz, wydawca i nauczyciel. Opublikował zbiory poezji: *Going for the Rain* (1976), *A Good Journey* (1977), *People Shall Continue* (1978), *Fight Back: For the Sake of the People for the Sake of the Land* (1980), *From Sand Creek* (1981). Wydał dwa tomy opowiadań *Howbah Indians* (1978) i *Fightin'* (1983). Ponadto jest autorem bodajże najlepszej antologii współczesnych opowiadań indiańskich *Earth Power Coming* (1983). Latem 1993 roku otrzymał nagrodę Kręgu Tubylczych Pisarzy Amerykańskich za dotychczasowe dokonania w dziedzinie literatury tubylczych Amerykanów. (Zob. TAWACIN 2/1993). W Polsce opublikowano dotąd tylko jego opowiadanie *Śpiwająca kobieta* (przel. L. Michalik. W: *Tylko Ziemia przetrwa...* Sztum 1992).

Noce i dni dłużyły się nam, zanim przyszła chwila naszego odejścia do domów - powiedział Manuelito, wielki wódz Nawahów. Ostatniego dnia przed wyruszeniem w drogę posłaliśmy kawalek w stronę domu, ponieważ nie mogliśmy się już doczekać wymarszu. Wróciliśmy i wtedy Amerykanie dali nam trochę zwierząt, za co byliśmy im wdzięczni. Prosiłiśmy poganiać, aby popędzili muły, bowiem bardzo nam się spieszyło. Kiedy z Albuquerque zobaczyliśmy szczyt góry, zastanawialiśmy się, czy to nasza góra, i chcieliśmy rozmawiać z ziemią, taka była nam droga, a niektórzy starcy i kobiety plakali z radości, gdy doszli do swych domów.

Dee Brown *Pochowaj me serce w Wounded Knee* s. 45.

## wiersze



### Juanita, żona Manuelito

po zobaczeniu jej fotografii  
w Dine Baa-Hant

Widzę twoimi oczyma  
ich szarość jak góra Sonseła,  
przeciągły ból,  
który przychodził na myśl  
o drodze wiodącej  
na Górę Sklepienia.

Widzę  
całe niebo  
przysposobione do deszczu  
nad potokiem Whiskey,  
i małą dziewczynkę  
pędzącą stado  
wygląda tak ślicznie  
w jej włosy wplecione  
pasmo przędzy.

Widzę  
przez twoje wejście  
z tej fotografii  
żeś twardą kobietą,  
doświadczoną przez historię  
długiej wędrówki  
i jak to jest  
gdy trzeba zostawić kantony  
i góry na własnej ziemi.

Widzę, kobieto Nawahów,  
że możliwe jest spełnienie  
snów, modlitwy pełne dziecięcej  
tajemnicy, śmiech, tańce,  
moje człowieczeństwo  
- to przetrwa zawsze.

I to właśnie chcę przekazać synowi.

## Przeprowadzka

nle mów mi ani słowa  
nle strasz mnie  
żyję w oślepiającym mleście  
te światła  
te samochody  
te oglupiające blaski  
draż mi serce  
i zatrzaskują umysł

kogo obchodził mój ból  
ciasna pętla gniewu  
w pierś  
dławił mnie ostro i często  
badam ślinę  
nle wygląda dobrze  
kogo obchodził mój umysł

przyjechałem tu z powodu zmęczenia  
BIA uczyło mnie jak opróżniać się  
codziennie żeby pilnie przestrzegać  
rozkładu zajęć,  
skuteczność uczyło się z katechizmu  
słosty sylabizowały mi białego boga  
przyjechałem tu żeby się najeść  
kukurydza ziemniaki chili i baranina  
nle wyżywią mnie - twierdzili

zgodziłem się więc przeprowadzić  
chodzę jak we śnie ulicami,  
po ulicach szarych betonów  
oślepiających światła i oleistych wiatrów  
uzbrojony w flaszkę wina

okradłem własne dzieci żeby ją kupić  
wstyd mi  
jestem zmęczony  
i głodny  
gadam do siebie  
tęsknię za górami  
tęsknię za sobą

## Patrząc na ciebie

dLi Joy

Patrząc na ciebie  
znad łagodnej pochyłości  
gdzie ciepło  
przy twoim ramieniu.  
Mam zamknięte oczy.  
Na polczku czuję  
kołatanie  
twojej krwi.  
W myślach widzę  
czuły ruch  
twoich wklęsłości,  
falowanie  
powolnych przypływów.  
Otwieram oczy,  
młótki półmrok  
i cudny pagórek  
wędrujący w górę, potem  
w dół, równo z oddechem.  
Zmysłne  
kruche paprocie,  
które mogą rozkołysać  
jednym tehem.  
Patrząc na ciebie całą skórą  
płynąc nad twoją,  
dobrze się ciebie nauczyłem.

Wiersze przełożył Marek Maciolek



Janice Lynn

## WALKA O WOLNOŚĆ:

### ALCATRAZ! ALCATRAZ!

*Alcatraz! Alcatraz!* - książka Adama Szczęśliwego Orła (Fortunate Eagle) wydana w roku obchodów pięćsetlecia przybycia Kolumba na kontynent północnoamerykański (Heyday Books, Berkeley 1992), jest tak twardym spojrzeniem na najnowszą historię Indian amerykańskich, jak skała w zatoce San Francisco, od której pochodzi tytuł książki. *Alcatraz! Alcatraz!* to książka o wolności, a dokładniej o poszukiwaniu i walce tubylczych Amerykanów o wolność. Faktycznie jednak przeprowadzono w niej krytykę systemu amerykańskiego opartego na przekonaniu, iż kraj żyje zgodnie z ideałami o wolności, zagwarantowanymi w Konstytucji wszystkim obywatelom.

W 1991 roku w wydawnictwie poprzedzającym wydanie książki, Szczęśliwy Orzeł wyczerpał fakty z historii tubylczych Amerykanów, które są przykładem rozdziewiętka między ideałami Konstytucji a rzeczywistością. Prawa federalne ustanowione w 1887 roku ograniczały praktyki religijne tubylczych Amerykanów. W 1924 roku przyznano Indianom obywatelstwo. Szczęśliwy Orzeł twierdzi jednak, że było to obywatelstwo z limitem, gdyż

w niektórych praw Indianom nie przyznano, na przykład prawa do wolności religijnej. Po wprowadzeniu w życie Ustawy o Reorganizacji Indian z 1934 roku (Indian Reorganization Act), która zmianała strukturę rządów plemiennych i podporządkowywała je amerykańskiemu systemowi rządzenia, przyznano Indianom więcej wolności religijnej, ale - jak twierdzi Szczęśliwy Orzeł, wystąpiły przeciwko niej religie zorganizowane. W 1978 roku prezydent Carter podpisał Ustawę o Wolności Religijnej (Religious Freedom Act), która miała chronić konstytucyjnie religijne praktyki Indian. Ustawa przepadła jednak, kiedy w 1980 roku prezydentem został Reagan, któremu - jak mówi Szczęśliwy Orzeł - zupełnie obojętne były sprawy Indian amerykańskich.

#### Wyobrażenia kontra rzeczywistość

Z charakterystycznym humorem odnajduje Szczęśliwy Orzeł niechęć Ronalda Reagana do Indian amerykańskich w jego filmowej roli z 1940 roku w *Along the Santa Fe Trail* („Na szlaku do Santa Fe”), gdzie grał gene-

rala Custer a „skończył na noszeniu koszuli ze strzałką”. Obok tego humorystycznego komentarza Szczęśliwy Orzeł mówi otwarcie: *Reagan nigdy nie był sojusznikiem, ani przyjacielem Indian. Interesowały go jedynie duże interesy, nigdy nie mały czułość. Był ekstremistą, który nie potrafił jednakowo traktować wszystkich Amerykanów oraz ich potrzeb. Zamiast pomóc w zachowaniu równości, pogłębił jeszcze istniejący podział. Indianie cierpieli w latach jego rządów, a Bush kontynuował tę rolę. Kiedy potrzebna była pomoc w rezerwach, głównie w zakresie służby zdrowia, Bush opowiadał się za zredukowaniem kredytów na ochronę zdrowia Indian włączając do skonałe, iż to, czym dysponowaliśmy było i tak już niewystarczające. Chciał ratować budżet kosztem Indian, którym pomoc medyczną zagwarantowano w traktatach. Ich przestrzeganie było obowiązkiem rządu, ale Bush wycofał się z tego.*

Apel o wolność religijną ponownie natrafił na ten sam opór w 1990 roku, gdy kilka organizacji, na przykład Krajowy Kongres Indian Amerykańskich, Fundusz Praw Tubylczych Amerykanów z Boulder i inne usiłowały uzasadnić prawo do wolności religijnej, ale znów odpawiono Indian z kwitkiem. Oto więc żyjemy w Ameryce celebryckiej pięćsetlecie przybycia Kolumba i przekonujemy się, że potrzeby Indian pozostają nadal nie zrozumiane i nie spełnione. *Wspokrzyjcie w Ameryce ma się całkiem nieźle - powiedział Szczęśliwy Orzeł. - Ci wszyscy, którzy przybyli do naszych brzegów i zaliczeni zostali w poczet obywateli tego kraju oraz ci, których nazywa się Amerykanami, cieszą się wolnością religijną. Tubylczy mieszkańcy kontynentu, którzy przeszli przez grozę ludobójstwa i zniszczenia, nadal nie mają zapewnionych podstawowych praw, przysługujących pozostałym Amerykanom. I oczekuje się od nas, że będziemy obchodzić Dzień Kolumba?*

Do poważnej konfrontacji wyznawanego przez Amerykę idealizmu z rzeczywistością doszło w 1969 roku, kiedy Indianie zajęli wyspę Alcatraz (wydarzenia te stanowią tło

książki Szczęśliwego Orła). Jeden z pierwszych przywódców okupacji - Szczęśliwy Orzeł - mówi, że społeczne poparcie dla okupacji, która zwróciła uwagę ludzi na warunki życia Indian - było odpowiedzią na ówczesne wydarzenia, przyspieszone przez wojnę w Wietnamie. W latach sześćdziesiątych niepokoje ogarnęły nie tylko Indian. Nagle pojawił się młody ludzie poszukujący nowej wolności oraz mniejszości wyrażające swoje niezadowolenie i całą opinię publiczną występującą przeciwko nie przynoszącej zwycięstwa wojnie w Wietnamie, w której ryzykowały swym życiem tysiące młodych Amerykanów. Pięćdziesiąt cztery tysiące z nich nigdy nie wróciło do domu. Ustawą o Prawach Obywatelskich (Civil Rights Act) z 1964 roku przyznano Murzynom prawo do głosowania. Choć Indianie zostali celowo pominięci, gdyż rząd osłabł, czyli, iż nie chce się wtrącać do postanowień traktatów plemiennych, okres ten był dla Indian pasjonujący. Był to narodem o niesamowitej żywotności, skłonny do protestu i dążącym do wolności.

#### Ustawa o likwidacji rezerwatów

Szczęśliwy Orzeł wspomina w *Alcatraz! Alcatraz!*, iż był to czas, w którym rewolucjonista był bohaterem. Panowała wówczas odpowiednia atmosfera do zwrócenia uwagi opinii publicznej na współczesne warunki życia Indian, które - jak czytamy w *Alcatraz! Alcatraz!* - były wynikiem dziesięcioleci manipulacji, pogardy i nadzoru. Dwie ustawy rządu federalnego (pierwsza z 1952 roku, znosząca system rezerwatów, dzięki czemu rząd zdobywał kontrolę nad terenami oraz bogactwami naturalnymi należącymi do plemion; druga z 1958 - umieszczająca Indian z rezerwatów w ośmiu ośrodkach większych miast amerykańskich) sprowadziły Indian do takich miast jak San Francisco bez żadnej konkretnej pomocy, bez środków na utrzymanie czy też pieniędzy na bilet powrotny do rezerwatu. Przystosowanie się do życia miejskiego na siłę często kończyło

się tragicznie: samobójstwa, alkoholizm, narkomania. Szczęśliwy Orzeł dzieli się swoim osobistym doświadczeniem - jego siostra była jedną z wielu zdeperowanych, którzy nie potrafili poradzić sobie z męską pułapką. Włożyła na głowę worek foliowy i napelnila go urazą, ciecżą z acrozolu.

Gdyby nie Alcatraz, rząd Stanów Zjednoczonych osiągnąłby swój cel I - jak pisze Szczęśliwy Orzeł - ostatni ślad po kraju Indian pozostałby tylko w książkach historycznych, które głośniby dumnie, iż Indianie amerykańscy ostatecznie zasymilowali się z głównym nurtem społeczeństwa. Brzmiało to wszystko jak powrót ostatecznego rozwiązania proponowanego przez inny rząd zaledwie kilka lat wcześniej. Alcatraz, dawne federalne więzienie karne dla najgroźniejszych przestępców Ameryki, stało się dla Indian symbolem wolności, symbolem determinacji Indian, aby zmienić politykę rządu uciśkającego naszych ludzi. Alcatraz miało stać się centrum kulturowym, edukacyjnym oraz duchowym. Miało się tam znaleźć muzeum, w którym pokazywano by osiągnięcia kultury Indianińskiej. W swoim entuzjazmie - mówi Szczęśliwy Orzeł - czasami zapominałśm, że Alcatraz było miejscem naprawdę zmnym i opuszczonym, nie nadającym się nawet do wzięcia. Zapomnieliśm, ponieważ wreszcie odważyłśm się odebrać to, co nam skradziono; mieliśm jedno oddzielone miejsce, aby odnowić to, co straciliśm. Szczęśliwy Orzeł porównał zajęcie Alcatraz przez Indian do przybycia statku Mayflower do Skąy Plymouth, kiedy to pielgrzymi poszukiwali wolności, której nie mogli znaleźć w swojej ojczyźnie, obojętnej na fakt, iż Plymouth należało już do kogoś innego. Cóż to za przykra uwaga dla tego kraju, że nas - tubylczych mieszkańców zmuszono trzysta pięćdziesiąt lat później do przybycia do innej skąy zwanej Alcatraz, żeby zwrócić uwagę całego narodu na naszą walkę o odzyskanie tej samej podstawowej wolności.

## Zwycięstwo i porażka

Walka o odzyskanie tej wolności nie obyla się bez zwycięstw i porażek. Młody studentki przywódca z plemienia Mohawk, Richard Oakes (któremu autor zadedykował swoją książkę) został wciągnięty w walkę o przywództwo w okupowanym Alcatraz. Walka podsycała sporą dawkę alkoholu kosztowała młodego człowieka życie. Choć Indianie w Alcatraz zjednoczyli się pod wspólną nazwą Indian Wszechk Plemion, Szczęśliwy Orzeł szczerze przyznaje, iż istniały między nimi podziały powodujące nieustanny brak jednomyślności, tragiczną walkę między nami zamiast zjednoczenia się przeciwko wspólnemu wrogowi. Autor przypomina, że kultury Indianińskie pod względem języka i obyczajów różniły się między sobą tak, jak kultura chińska od włoskiej. Ciągłe jeszcze istnieje rywalizacja, a nawet nienawiść między plemionami. Pisarz dostrzega także tragiczny wpływ męskiej społeczności amerykańskiej niszczącej poczucie dumy i godności, a także trywializującej kulturową tożsamość Indian. Wielu ludzi zakochuje się w Indianach, kiedy jesteśm natchnieni, poetyczni, wykorzystując czy też gdy przeciwstawiamy się rządowi broniąc swoich praw - zauważa Szczęśliwy Orzeł. Jednak nie potrafili zaakceptować drugiej strony naszego życia - depresji, nienawiści do samych siebie, alkoholizmu, samowyniszczenia czy też egoizmu wynikającego z życia w upokorzeniu. Kwestią sporną jest, co w gruncie rzeczy zyskał rząd wyrzucając Indian z Alcatraz. W ujawnionym raporcie FBI (dzięki Ustawie o Wolności Informacji) czytamy, że rząd nie mógł pozwolić sobie na pojawienie się Mesjasza, który zjednoczyłby ludzi. Perspektywa Indianińskiego powstania, popieranego przez szerokie koła liberalne opinii publicznej, musiała postawić wyższych urzędników w stan gotowości - pisze Szczęśliwy Orzeł. W odpowiedzi na pytanie o jego rolę jako aktywisty dodał: Ich polityka polegała na podważaniu utraty wolności, rozbijaniu struktur i aresztowaniu, a więc na

całkowitym uniemożliwieniu nam działania. Stałśm się znany jako Indianiścy aktywiści, gdyż walczyliśm o to samo, co postadał każdy człowiek określający się mianem Amerykanina. Walczyłm o wolność, sprawiedliwość, o silniejszą i lepszą Amerykę, ale ci u władzy uwiązują inaczej. Jestem przeciwny hipokryzji istniejącej w naszym kraju, która głosi, że każdy Amerykanin ma zagwarantowane podstawowe swobody, prawa i wolność, ale systematycznie i jawnie niszczy się każdego.

Większym optylizmem technicznie stwierdził Szczęśliwy Orzeł, że podczas okupacji Alcatraz Departament Spraw Wewnętrznych po cichu i niespodziewanie odstąpił od programu przesiedlania Indian. Obraz Indianiń, jak również obraz rządu zaczynał ulegać zmianie w oczach opinii publicznej. Cieszące się powodzeniem filmy przedstawiały Indian jako ludzi inteligentnych i godnych szacunku, będących ofiarami rzezi - unikając raczej stereotypowej postaci Indianiń walczącego przeciwko białemu człowiekowi w białym kapeluszu. Również armia amerykańska, nie odnosząca sukcesów w Wietnamie zabrała się okrucieństwami oglądanymi codziennie w wiadomościach telewizyjnych. Prawda wychodziła na jaw. Symbolem postawy aktywisty dla Szczęśliwego Orła stały się noszone przez niego do dziś długie warokocze. Na pamiątkę Alcatraz, a także jako symbol mego oddania się sprawie Indianińskiej, od tamtej pory nie obciąłem włosów. I póki żyję, nigdy tego nie zrobię.

## Utrata marzenia

W wyniku radykalnych i antyrządowych wystąpień w tamtych latach, nasiliły się trwające do dziś tendencje konserwatywne. Ich przejawem mogą być, zdaniem Szczęśliwego Orła, wysiłki Sądu Najwyższego USA, dążącego do zalegalizowania kontroli nad organizmem kobiety [tzn. sterylizacji kobiet mniejszości narodowych - przyp. TAWACIN]. Szczęśliwy Orzeł trzeźwo spogląda również na występujące nadal, mimo Indianińskie

aktywności, problemy w rezerwach, takie jak ubóstwo, alkoholizm i rozpacz. W zakończeniu *Alcatraz! Alcatraz!* autor ubolewa nad przegraną Indian, której dowód znajdujemy w dobrze znanych statystykach: średni roczny dochód w wysokości 1500 dolarów (25% średniej krajowej), bezrobocie sięgające 40% (ponad dziesięciokrotnie większe od średniej krajowej), przeciętna długość życia wynosząca dla Indian 44 lata, a dla innych Amerykanów - 65 lat; śmiertelność niemowląt dwa razy wyższa od średniej krajowej. Oplakuję naszą przegraną - utratę ziemi, utratę marzenia - mówi autor. Wymowa książki zdaje się sugerować, iż to cała Ameryka powinna oplakiwać porażkę razem z Szczęśliwym Orłem, gdyż jest to także utrata „Amerykańskiego Marzenia”.

Pisarz kończy jednak optymistycznie - wysiłki ujawniania prawdy nie były daremne. W piątą rocznicę Alcatraz urodziła się pierwsza wnuczka Adama i jego żony Bobbie, Benayshe-ba-eyay (Kobieta Płaka Wodnego). W tym samym dniu na wyspie odbywał się uroczysty taniec w kręgu, będący symbolem włączenia się w Święty Krąg ludzi czterech świętych kolorów, jednoczących się jako Bracia i Siostry w zwyczajach i nadziei na przyszłość. Jednocześnie w nadziei, że wszystkie formy życia, jakie istnieją na Matce Ziemi mogą żyć w równowadze i harmonii - podsumowuje Szczęśliwy Orzeł w *Alcatraz! Alcatraz!*. Może to idealistyczna nadzieja czy marzenie, ale jeśli nie zrobimy nic, aby zbliżyć się do celu, to nigdy go nie osiągniemy.

Janice Lynn

Thum. Magdalena Łukasik

Artykuł pochodzi z październikowego (1992) numeru pisma *The Sun*, s. 14-15.

Adam Fortunate Eagle (Chippewa) jest strażnikiem świętej fajki i rzeźbiarzem. Mieszka w rezerwacji Fallon Paiute-Shoshone w Newadzie z żoną, dziećmi i wnukami.

## Janomami: więcej niż masakra

Informacje o dokonanej w sierpniu 1993 roku masakrze grupy Indian Janomami z amazońskiej dżungli na pograniczu Brazylii i Wenezueli obiegły świat, budząc niemal wszędzie oburzenie, żądania schwytania i ukarania sprawców oraz zapewnienia Indianom bezpieczeństwa. Jednocześnie nie ustają kontrowersje wokół tej tragedii, związane z ujawnianiem wciąż nowych faktów oraz ze sprzecznymi informacjami, spływającymi od świadków masakry, od rządowych urzędników, ze źródeł wojskowych i z indiańskich organizacji.

Podczas gdy niemal wszyscy garimpeiros podejrzani o dokonanie tej zbrodni pozostają nadal na wolności (w Wenezueli zatrzymano 2 z 18 podejrzanych), toczy się spór o faktyczną ilość ofiar, zaś organizacje praw człowieka podkreślają, iż jest to jedynie część ludobójstwa trwającego od 1987 roku, kiedy to poszukiwacze złota i diamentów po raz pierwszy masowo wkroczyli na ziemie Janomami.

Indiańska Rada Misyjna i Amnesty International donoszą na przykład, że od 1987 roku zginęło ok. 2000 Janomami. Tymczasem liczebność całego ludu ocenia się dziś na 9000 osób (jeszcze niedawno mówiło się o 20000). Śmierć Indianom niosą nie tylko kule, maczety i palki, ale także gruźlica, malaria i inne choroby przynoszone przez białych.

Tylko w 1992 roku ponad 4000 Indian Janomami zachorowało na malarię, a 78 z nich zmarło. Rok wcześniej ujawniono 6788 przypadków tej choroby i 79 zgonów. Wg Indiańskiej Rady Misyjnej, w niektórych wioskach choroby doprowadziły do śmierci nawet 80 % populacji. Mimo wymuszonej przez obrońców Indian i środowiska decyzji o zakazie wstępu poszukiwaczy na tereny Janomami, nadal przebywa tam co najmniej 600 intruzów.

Rzeczywista liczba Janomami zamordowanych latem 1993 roku może nigdy nie być znana. Liczby, wg różnych źródeł, wahają się od 16 do 100 osób. Brak jest zeznań świadków - trudno do nich dotrzeć, jeszcze trudniej zdobyć ich zaufanie. Janomami nie znają pisma ani kalendarza, nie używają jednostek odległości ani wagi. Na wszystkie liczby większe od dwóch mówią po prostu "wahoro", wiele.

Prokurator stanu Roraima stwierdził, iż "nie ma wątpliwości, że miała miejsce masakra o znacznych rozmiarach". W pobliżu granicy z Wenezuelą odnaleziono łuski po nabojach dużego kalibru i ślady butów oraz osiem ognisk, zawierających zęby ludzi, których ciała zwyczajem Janomami zostały spalone.

Jednak brazylijska policja oraz francuski antropolog Bruce Albert oświadczyli później, że masakra miała miejsce na terytorium Wenezueli oraz że zamordowano "tylko 18" Indian. Albert, członek humanitarnej organizacji Survival International, który wśród Janomami spędził kilkanaście lat oświadczył, iż zebranie zeznań świadków i ułożenie ich w logiczną całość zajęło mu wiele dni. Janomami obawiają się bowiem, że mogliby paść ofiarą czarów, gdyby wypowiadali imiona ludzi zmarłych lub ujawniali obcym imiona swoich dzieci.

Podczas prowadzonych na osobności rozmów Indianie opowiedzieli podobno Albertowi, że na początku lipca górnicy zabili czterech Janomami podczas kłótni o żywność i broń. Po kilku dniach grupa rozgniewanych wojowników zemściła się na nich, zabijając dwóch garimpeiros strzałami zatrutymi kurrarą. Indianie podali imiona lub przezwiska 23 poszukiwaczy, którzy w odwecie zastawili śmiercielną pułapkę, w której zginęło dwanaścioro Indian.

Ponieważ rządowa ekipa śledcza odnalazła tylko jedno ciało - kobiety, której szczątki nie zostały poddane kremacji - lokalni urzędnicy brazylijscy twierdzili początkowo, że cała historia o masakrze została wymyślona. W połowie września przyjęto wersję o zamordowaniu 16 Indian w dwóch oddzielnych incydentach, ale część mieszkańców Roraimy nadal nie wierzy, że wydarzenie to miało miejsce.

"Z politycznego punktu widzenia byłoby bardzo na rękę FUNAI (rządowej agencji do spraw Indian), gdyby taka masakra nastąpiła właśnie tu i teraz" - powiedział John Boyle, jeden górników, który przed ośmiu laty przybył tu w poszukiwaniu fortuny ze Szkocji. Zdaniem wielu lokalnych poszukiwaczy, biznesmenów, polityków i wojskowych chodzi o trwałą w Brazylii publiczną debatę wokół ostatecznego wytyczenia terenów należących do Indian.

Zgodnie z Konstytucją z 1988 r. rząd Brazylii miał wyznaczyć granice wszystkich rezerwatów do 5 października 1993 roku. W miarę zbliżania się tego terminu nasilały się żądania cofnięcia przyznanych dotąd Indianom praw i odebrania rezerwatów.

Pod koniec sierpnia Sekretarz Generalny ONZ Boutros Ghali wyraził swe "głębokie ubolewanie" z powodu amazońskiej tragedii. "Masakra Janomami, która miała miejsce w czasie Międzynarodowego Roku Tutejczych Świata uwypukla tragiczny los tutejczych ludów na całym świecie" - powiedział.

Sierpniowa masakra dotknęła jedno z ostatnich żyjących na skraju cywilizacji plemion Amazonii. Rząd Brazylii aż do listopada 1991 roku nie uznawał praw Janomami do ich ziem i dopiero pod naciskiem obrońców Indian z całego świata zdecydował się na ustanowienie rezerwatu o powierzchni około 95000 kilometrów kw. Po masakrze utworzono też specjalne ministerstwo do spraw Amazonii. Mimo to, zdaniem bezradnej policji, kilkuset nielegalnych poszukiwaczy nadal wydobywa tam do 5 ton złota miesięcznie, siejąc wokół śmierć i zniszczenie.

"To zbyt wiele ziemi dla tak niewielu Indian, dlatego wszyscy będziemy biedni" - mówią górnicy. Manoel Tavares z FUNAI obciążył winą polityków, których los Indian nie nie obchodzi, a którzy często "dostają od garimpeiros pieniądze na finansowanie kampanii wyborczych". Jako dowód przytoczył fakt, iż 17 ośrodków FUNAI na ziemiach Janomami od wielu miesięcy nie dostaje pieniędzy na działalność.

Znany lider Indian Davi Kopenawa Janomami skierował do świata posłanie, w którym czytamy między innymi: "Apeluję o pomoc dla Janomami - prosimy ludzi o pisanie listów do rządu Brazylii i o domaganie się natychmiastowego usunięcia poszukiwaczy złota z ziem Indian i terenów przygranicznych. Proście też o schwytanie i ukaranie bandytów, którzy zabili moich braci i siostry".

Na podstawie "The Lakota Times" (14.10.93), "Rzeczpospolitej" (195, 196, 202, 260), "Zielonych Brygad" (10/93), materiałów Survival International oraz archiwum PSP opracował Marek NowoCIEŃ

Listy można wysyłać do: Exmo Sr. Itamar Franco, DD Presidente da Republica Federativa do Brasil, Palacio do Planalto, 70000 Brasília DF, Brazylia

## MASAKRA INDIAN W BRAZYLII

Co najmniej 73 Indian Janomami zostało zamordowanych w dżungli amazońskiej



Poszukiwacze złota starają się wyprzeć z obfitującego w złoża rezerwatu, Indian Janomami, plemię do niedawna nie skażone zachodnią cywilizacją, żyjące na poziomie epoki kamienia łupanego.

## Janomami i świat

- 1968 - początek systematycznych badań Kennetha I. Taylora z Survival International - USA na ziemiach Janomami w Brazylii; władze ignorują roczne prace nad pierwszym szczegółowym projektem tzw. Parku Janomami.
- 1971 - Przewodniczący SI Robin Hanbury-Tenison odwiedza na zaproszenie władz Brazylii ziemie Janomami, ponawiając propozycję utworzenia Parku, "którego administracja winna pozostawić głównie w ich rękach".
- 1972 - początek budowy transamazońskiej drogi na pograniczu ziem Janomami - pierwsza poważna ingerencja w życie i rozwój plemienia.
- 1974 - początek zorganizowanej przez K. Taylora akcji ochrony Janomami; początek badań grupy dr Bruce'a Alberta z SI i punktu medycznego dla Janomami w Wenezueli.
- 1976 - usunięcie grupy B. Alberta z Brazylii.
- 1978 - rząd Brazylii proponuje wydzielenie z ziem Janomami 21 mini-rezerwatów; organizacje pro-indiańskie rozpoczynają akcje protestu.
- 1979 - SI rozpoczyna wydawanie "Biuletynów", zachęca dziennikarzy do pisania o Janomami i wydaje książkę "The Yanoama in Brazil".
- 1979 - Skuteczna kampania przeciw projektowi rządu; alternatywna propozycja B. Alberta oraz Komisji na Rzecz Parku Janomami (CCPY).
- 1980 - pierwsza oficjalna skarga pro-indiańskich grup do Organizacji Państw Amerykańskich; Marcus Colchester wysuwa dobrze przyjętą lecz nigdy nie zrealizowaną propozycję zapewnienia ziem dla Janomami z Wenezueli; pierwsze petycje przyjaciół Indian z Polski.
- 1982 - R. Hanbury-Tenison i B. Albert piszą książkę o Janomami; M. Colchester zostaje doradcą rządu Wenezueli ds. zdrowia i oświaty Janomami; CCPY oraz B. Albert podejmują pierwsze kroki prawne na rzecz Parku; SI przedstawia problem Janomami w ONZ.
- 1983 - Antonio Perez prezentuje sztukę Janomami w Wenezueli, RFN i Hiszpanii; Brytyjska sekcja SI popularyzuje wiedzę o Janomami wśród młodzieży szkolnej; zmiany polityczne w Wenezueli wstrzymują postęp prac.

- 1984 - CCPY współpracuje z organizacją Lekarze Świata i francuską sekcją SI w akcji szczepień Janomami, przerwanej w latach 1985-87 przez władze Brazylii; B. Albert jest konsultantem ekipy francuskiej TV.
- 1985 - Organizacja Państw Amerykańskich potępia rząd Brazylii za spowalnianie prac nad utworzeniem Parku; SI przedstawia problem Międzynarodowej Organizacji Pracy.
- 1986 - M. Colchester jest konsultantem filmu BBC na temat religii Janomami; SI publikuje broszurę dla nauczycieli "Teacher's Notes".
- 1987 - naciskany przez organizację międzynarodową rząd Wenezueli wstrzymuje zorganizowane wyprawy turystyczne do Janomami.
- 1988 - wybuch gorączki złota na ziemiach Janomami i wydzielenie im przez władze 19 mini-rezerwatów; demonstracje obrońców Indian przed ambasadami Brazylii w 20 krajach.
- 1989 - Wenezuela usuwa brazylijskich poszukiwaczy ze swego terytorium; SI publikuje pakiet edukacyjny o problemie Amazonii; nagrodę "Right Livelihood Award" ("alternatywnego Nobla") dla SI odbiera Davi Kopenawa, pierwszy przywódca Janomami, któremu pozwolono na wyjazd z Brazylii; SI tworzy pozarządową fundację pomocy medycznej.
- 1990 - międzynarodowa kampania zmusza władze Brazylii do zezwolenia organizacjom charytatywnym na działalność wśród Janomami. B. Albert pracuje jako konsultant i tłumacz zespołów medycznych CCPY włączonych do rządowego programu pomocy medycznej.
- 1991 - nowy prezydent Brazylii cofa pod naciskiem społeczności światowej dekret o mini-rezerwach Janomami i nakazuje usunięcie z ich terenów nielegalnych poszukiwaczy złota.
- 1991 - 14 października dekret prezydenta Brazylii uznaje "stałe prawa" Janomami do 6400 km kw. ziemi w stanach Roraima i Amazonas, stanowiącej podstawę Parku Janomami.
- 1993 - w ciągu dwóch lat od zatwierdzenia Parku Janomami w ponad 20 starciach z poszukiwaczami złota zginęło co najmniej 50 Indian a setki zmarły od przynoszonych przez nich chorób; niszczenie Amazonii i ludobójstwo Janomami trwa. Cień

## \* Z Ziemi Indian \* serwis informacyjny \* Z Ziemi Indian \*

### Indianin gubernatorem stanu?

Pochodzący z plemienia Paunisów Larry EchoHlawk jest pierwszym w USA Indianinem mianowanym na stanowisko prokuratora generalnego. Ostatnio ogłosił on swój zamiar ubiegania się o stanowisko gubernatora stanu Idaho z ramienia Partii Demokratycznej. Większość Indian z Idaho uznała tę decyzję za pozytywną, doceniając jego dorobek w ochronie populacji lososia oraz rozwoju opieki społecznej i oświaty w rezerwach. Wielu jednak waha się, czy poprzeć tego doświadczanego indiańskiego prawnika ze względu na jego zasługi dla władz stanu w sporach z władzami plemiennymi wokół przepisów dotyczących gier hazardowych. Jeśli EchoHlawk wygra planowane pod koniec 1993 roku wybory, zostanie pierwszym indiańskim gubernatorem w kraju.

### Kongres Amerykańskich Indian bogatszy

Gaiashkibos, przewodniczący Krajowego Kongresu Indian Amerykańskich (NCAI), poinformował o otrzymaniu przez Fundację NCAI 250000 dolarów dotacji od nowojorskiej Fundacji Forda. Zostaną one przeznaczone na cele administracyjne, oświatowe, budowę porozumienia oraz działalność w obronie uznawanych przez władze federalne lub stanowe plemion, zrzeszonych w istniejącej od 49 lat największej organizacji Indian w USA.

### Wodzowi nie wolno bić żony...

Rada plemienna rezerwatu Salt River, obejmującego 50000 akrów ziemi na wschód od Phoenix w Arizonie i zamieszkanego przez 4100 Indian Pima i Maricopa, zawiesiła w pełnieniu obowiązków do czasu ponownych wyborów przewodniczącego Rady Ivana Makila. Jako przyczynę zwolnienia podano "arogancą postawę" wodza w życiu prywatnym i zawodowym.

### Kobiety i dzieci najważniejsze u Crow

Po zażartej dyskusji, toczonej na przemian w języku Crow i po angielsku, rada plemienna z Agencji Crow po raz szósty z rzędu opowiedziała się za pozostawieniem szerokich uprawnień administracyjnych przewodniczącemu rady. Od 1990 roku tę - najwyższą w przerwach między kwartalnymi posiedzeniami rady plemiennej - funkcję sprawuje kobieta, Clara Nomce. Spór ucił tylko w chwili, gdy ogłoszono, że po narodzinach dwójki dzieci liczba członków plemienia przekroczyła 9000.

### W obronie "czerwonego biskupa" z Meksyku

Członkowie blisko 300 organizacji społecznych i grup katolickich poparli znanego ze swego zaangażowania na rzecz meksykańskich Indian i ubogich biskupa Samuela Ruiza ze stanu Chiapas, którego Watykan potępił za "błędy doktrynalne i duszpasterskie". Indianie z diecezji San Cristobal wysłali do biskupa listy z poparciem, a laureatka Pokojowej Nagrody Nobla Rigoberta Menchu oświadczyła, iż decyzja Watykanu w jego sprawie "wprawia ją w osłupienie". W skierowanym do Papieża liście napisała ona m.in., że Samuel Ruiz "jest kolejną oliarą tych, którzy przez pięć stuleci utrzymywali nas w ubóstwie, spychając na marginesy".

### Protesty Indian w Gwatemali

Ok. 5000 Indian i związkowców z Gwatemali wzięło udział w marszu w stolicy kraju, aby uczcić rocznicę rewolucji z 1944 roku i zaprotestować przeciwko nowemu rządowi, który nie dotrzymuje swych obietnic. Oskarżali oni prezydenta Ramirza de Leon Carpio, iż zapomniał o swojej przeszłości czolowego działacza na rzecz praw człowieka i że faworyzuje armię oraz sektor prywatny w planie pokojowym, mającym doprowadzić do zakończenia trwającej od 32 lat wojny domowej. CienitAK

## Z miłości do historii

Jest już grubo po czasie, by rozpatrywać *Tańczącego z Wilkami* Kevina Costnera jako dzieło sztuki filmowej, lecz nigdy za późno, by dokonać oceny interpretacji amerykańskiej historii i etnologii, nawet tych ukrytych zresztą pod płaszczykiem fantazji i głośno zachwalanych przez handlarzy świętości z Hollywoodu. W szumnych zapowiedziach przed premierą filmu i w swoim "wyznaniu wiary" po jego ukończeniu - *"Tańczący z Wilkami"* - *Ilustrowana opowieść o epickim filmie* Costner triumfalnie obwieszcza, iż ten film "pozostanie na zawsze mym ukochanym przesłaniem do historii", zaś Michael Blake twierdzi, że swój scenariusz oparł na wieloletnich badaniach historii i kultury Indian. Tym samym Costner i spółka dobrowolnie skazują swe dzieło na wyjalowienie.

Jeśli *Tańczącego z Wilkami* tworzone z miłości do Indian, to uczucie Costnera względem przeszłości jest krótkowzroczne i płytkie, i nie potrafi zaradzić temu scenarzysta Blake. Jeśli przyjrzeć się bliżej, stwierdzimy, że znajomość historii i ludzi Zachodu Blake'a zdaje się ograniczać do wyrывkowego czytania takich kawiarnianych autorytetów, jak *Fascynujące indyjskie dziedzictwo Ameryki - wybór tekstów*, uzupełnionego wertowaniem takich wyrosłych z poczucia winy prac, jak *Pochowaj me serce w Wounded Knee* Dee Browna. Zachwalany przez swych twórców jako autentyczny pod względem kulturowym i historycznym dramat, *Tańczący z Wilkami* jest wszystkim, tylko nie tym.

Historia, która kryje się pod rzekomą historią z *Tańczącego z Wilkami* jest krótka i treściwa. Początkowo przyjaciel Costnera, Blake występuje z niejasnym zamysłem stworzenia scenariusza dla "wielkiego westernu", czyli czegoś, co pozwoli jego patronowi na uzewnętrznienie swojego "ja". Samie scenariusze nie cieszą się jednak wzięciem u finansistów z Hollywoodu, którzy dla siebie

i reżysera żądają czegoś bardziej konkretnego - książki. Tak się też staje. Promotor Costner zleca Blake'owi zamianę szkicu na powieściśdło - ma to być środek na uzyskanie osiemnastu milionów dolarów potrzebnych do realizacji filmu.

Był to tylko pierwszy historyczny blamaż. Costner i spółka zawodzą też na całej linii, jeśli chodzi o znajomość kultury. Zarówno w swym pierwotnym zamyśle, jak i w wersji powieściowej, Blake nazywa swego Indianina "Komanczem". (który w niczym nie przypomina prawdziwego odpowiednika) i umieszcza go w jakimś bliżej nie określonym miejscu wśród porośniętych niską trawą równin. Być może jest to w zachodnim Teksasie, może gdzieś w zachodnim Kansas.

Niezależnie od wszelkich uchybień etnologicznych i estetycznych "dzieła" Blake'a, najbardziej irytuje orientującego się w temacie czytelnika zupełna ignorancja autora w takich sprawach jak krajobrazy, flora, klimat, fauna, ludzie, kultury, charaktery, technika i wydarzenia historyczne. Wszystkie owe szczegóły, które czynią powieść historyczną pouczającą i wiarygodną, tutaj w ogóle nie występują. Co gorsza, Blake'owi brak jest wyobraźni historycznej. Zamiast twórczo postawić się w roli bohaterów działających w dziewiętnastowiecznych realiach, przedstawił on jeszcze jedną wersję dzisiejszej ortodoksyjnej historii Indian. Jego prześladowany Dobry Indianin i gnębiony go Zły Amerykanin nie są niczym więcej, jak jeszcze jednym odtworzeniem obowiązującego po dziś dzień rasowego stereotypu Hollywoodu.

Już ukończone, mętne i nieprzekonywujące dzieło służy za gwarancję w banku. Mając pieniądze w ręku, producent Costner pozwala reżyserowi Costnerowi ukazać na ekranie blażnistwa aktora Costnera. Lecz najpierw pojawia się problem wyboru miejsca do kręcenia zdjęć. Jak wyjaśniał później,

żeby przenieść na ekran "książkę", musiał mieć mnóstwo Indian, bizonów, koni oraz rozległe dziczyzny prairie, leżące w zasięgu miejskich rozkoszy, aby zapewnić swojej ekipie godziwy wypoczynek po całonocnym trudzie. Nic takiego nie można było znaleźć w zachodnim Teksasie, więc Costner zdecydował się na pejzaże w pobliżu miasta Pierre w Dakocie Południowej. Tak "Komancz" Blake'a został Dakotą (Siuksem) i wszystkie idiotyczne przymioty, przypisane w "książce" Komanczom z zachodniego Teksasu a przeniesione na ekran, udzieliły się Siuksom z Dakoty Południowej.

Nie ma to żadnego znaczenia, gdyż filmowa opowieść nie mówi o historycznych Komanczach, Siuksach, Paunisach czy oficerach armii amerykańskiej. Jest to pantomimiczna alegoria opisująca nieszczęśliwego Białego prześladowanego nieszczęśliwego Dobrego Indianina w całej jego pierwotnej naiwności, przez większość filmu skupiona wokół mętnej wyobcowanej osobowości niosącego im pomocną dłoń bohatera - Costnera. Lecz nie chodzi tu o to, jak sprzedawał się *Tańczący z Wilkami*; zasiadająca przed ekranem widownia sądzi, że dowie się prawdy o historycznych wydarzeniach. W dwadzieścia sześć tygodni po premierze filmu w samych tylko Stanach Zjednoczonych obejrzało go trzydzieści siedem milionów widzów i większość z nich wciągnęła ta zabawa. Czy jednak znaleźli wiele z tego, co zapowiadał Costner?

Nie, od pierwszej po ostatnią scenę filmu. Sam bohater pisarza Blake'a, porucznik Dunbar jest nie-dorzeczny od początku do końca. Widziany najpierw jako przywrócony do życia z oliarnego ołtarza szpitala polowego w Arkansas w toku wojny domowej, ukazuje się jako trzydziestoletni, pozbawiony złudzeń porucznik regularnej armii o długim stażu i doświadczeniu bojowym, którego przemożnym pragnieniem jest wyjazd nad "zanikającą" zachodnią granicę. Wszystko to bardzo zajmujące, ale...

Taka charakterystyka sprawia, że znawcy wojny domowej w niemych proteście zrywają się z miejsc. Wiosną 1863 roku nie było w armii Unii żadnego młodsze go oficera z tak znakomitymi referencjami. Nieliczni, którzy osiągnęli ten stopień w 1860 roku - poginęli, odnieśli trwałe kalectwo, dostali się do niewoli, wrócili w niesławie do domu, bądź dowodzili niebieskimi lub szarymi pułkami i brygadami.

Trzeba też było całych lat po zakończeniu wojny domowej, zanim Amerykanie zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że zachodnia granica może zaginać. Niezbity to autentyczna więc charakterystyka, ale to jeszcze nie wszystko.

Po opuszczeniu szpitala porucznik Dunbar galopuje z powrotem na linię ognia i dociera do miejsca, do którego pisarz Blake przywiązuje większą wagę, niż większość z licznych widzów. Mowa o szczątkach obserwacyjnego balonu wojsk Unii, bezmyślnie skierowanego w zasięg działania strzelców wyborowych konfederatów. Ten zestrzelony ptak, leżący na ziemi z uchodzącym z niego gorącym powietrzem, może być uwiecznieniem całej bajeczki Blake'a. W każdym razie Blake popełnia błędy tak w drobnych szczegółach, jak przy charakteryzowaniu osób. Thaddeus Lowe, dowódca pięcioletniego balonowego korpusu obserwacyjnego w armii Unii byłby szczerze zdziwiony, gdyby usłyszał, że jedna z jego jednostek znalazła się na zachód od Potomacu, nie mówiąc o tym, że cały jego oddział rozwiązano na długo przed czasem, w którym Blake umiejscawia bitwę pod Ozark. Już to mogłoby w wystarczającym stopniu przekonać widzów, że *Tańczący z Wilkami* jest filmem antywojennym, ale poczekajmy.

Widząc nadarzącą się sposobność, porucznik Dunbar decyduje się na szarżę w stylu, w jakim podniósł się ze stołu operacyjnego. Dosiada Cudownego Rumaka i nieczym Chrystus na Koniu ewaluje w odległości strzału z pistoletu wzdłuż szeregów nieprzyjaciela, który wali do niego ze wszystkiego, co ma w swoim arsenale. Na zdrowy rozum, film winien skończyć się po pierwszej salwie, ale gdzież tam! Nasz porucznik wychodzi z tego bez szwanku.

Ta rzeczywiście twórcza scena powinna przynieść *Tańczącemu z Wilkami* specjalnego, ósmego Oscara. Jeszcze nigdy w historii filmu żaden tandem scenarzysta-reżyser nie okazał większej pogardy dla zdecydowania i umiejętności strzeleckich konfederatów. Widzimy jak - wytrąceni z równowagi fenomenalnym wyczynem porucznika Dunbara - rzucają się do ucieczki. Równie dobrze mogliby uciec z kina widzowie, lecz niewielu to zrobiło. To jasne, że na ich oczach rodzi się Wielki Białły Anty-Bohater. Jak na razie nie ma śladu wilków, Indian czy innych niebezpiecznych istot. Ale, baczność! Już nadchodzą.

Kiedy Dunbar odegrał swą mesjaszową rolę, zaszczyca go wizytą białobroda, z ojcowska wyglądająca postać w osobie tajemniczego generała. Wyrozumiały zwierzchnik o patriarchalnym obliczu ma do spełnienia osobliwą misję. Zbawiennie dla Blake'a i Costnera pojawia się na chwilę na ekranie jako cudotwórca. Osusza spoczone czoło Dunbara, uzdrawia jego rany, darowuje Cudownego Rumaka, uwalnia od doczesnych obowiązków i pozwala spełnić ukryte marzenia bohatera.

Nagrodą dla trzydziestolatka za jego dowódcze popisy jest wycieczka do miejsca jego - a raczej Costnera i Blake'a - snów, czyli drogo okupiony bilet do Rajskiego Zachodu. Czy istnieje jakieś podobieństwo między filmowym generałem a jakimś jego pierwowzorem? Czy brygadiera James G. Blunt albo Frederick Steele pozbyliby się beztrząsowo tak wartościowego podkomendnego? Nie sądzę. Każdy dowódca sił Unii w 1863 roku natychmiast awansowałby taki samorodny talent do stopnia pułkownika i postawiłby na prostej drodze do naszywania na pagonach generalskiej gwiazdki. Pomijając jednak fakt, że lekką ręką szafuje swymi atutami, generał ów okazuje się czarownikiem, który po pół godzinie pozwala zacząć się filmowi. Ukazuje Szlak do Szczęśliwej Doliny.

Teraz Blake i Costner mogą już przystąpić do rozprawy z Błędymi Twarzami. W drodze na Zachód Any-Bohatera od razu powala nokaut - spotkanie z postacią będącą najbardziej odrażającym okazem Amerykanina, jaki ukazał się na ekranie, nieszczęśliwym towarzyszącym mu do ostatniego etapu jego podróży - Odrażającym Amerykaninem, zaślinionym poganiaczem mulów, który w oczach dziewcząt z Hollywoodu ma wszelkie wady, których nie powinien posiadać Amerykanin z warstwy białych kolniczyków. Także Kevin uważa, iż nie pasuje on do Zachodu. Gdy tylko bohater opuszcza fort Nigdzie, major Nieszczęsny popelnia samobójstwo. Także mulnik Blazen ma przed sobą ledwie kilka godzin życia. Wkrótce ginie pod gradem strzał i noży skalpowych kilku brązowoskórych Wrednych Facetów. Być może pisarz Blake daje w ten sposób do zrozumienia, że poręcznik Dunbar musi liczyć tylko na siebie.

Wraz z wilkami i bizonami, pośród innych nieujarzmionych zwierząt z Ziemi Obiecanej

Dunbara, zagrożonych przez ohydny Białego, żyją dwie odmiany gatunku ludzkiego. Tę pierwszą, winną rozlania krwi mulnika, Blake nazywa Paunisami. Jeśli nawet nie dopuszczają się okrucieństw wobec bezbronnych białych cywilów, to jednak ci Żli Indianie zajmują się terroryzowaniem i wybijaniem innych Indian, których Blakenazywa "Prawdziwymi Ludźmi Natury". Są to Siuksowie (lub Komancze, jeśli zawierzyć plemienną mapie Zachodu, sporządzoną przez Blake'a i Costnera). Dobrzy Indianie szybko zaprzysiężają się z samotnym przybyszem Dunbarem. Niestety, to jeszcze nie koniec.

Nie dość, że Blake umieszcza swoich Indian w złym miejscu, to jeszcze wprowadza kompletne zamieszanie w stosunkach międzyplemiennych. Na szczęście dzięki nielicznym Paunisom, którzy przeżyli mordercze najazdy szlachetnych Siuksów, możemy całą rzecz wyjaśnić. Osiedli pierwotnie w dolinach rzek na Równinach Paunisi ustępowali liczbą Siuksom i ich sojusznikom w stosunku niemal jak jeden do czterdziestu. Siuksowie zaś byli najeźdźcami ze wschodu, którzy Paunisów i innych rolniczych Indian uczynili celem swych ataków. Prawdziwi Paunisi przeżywali tak trudne czasy, że na długo przed mitycznym nadejściem Dunbara ich nazwą określano niewolników od Nowego Meksyku po Michigan. A w 1874 roku, na trzy lata przed błędnie podaną w ponurym *post scriptum* filmu datą oddania przez Siuksów Czarnych Gór, resztki zaszczutych i zdziśiatkowanych Paunisów schroniły się w Oklahomie pod opiekę wojska, którym Costner tak gardzi. To trochę za wiele, jak na "miłość do historii". Ale znajdziemy jeszcze coś gorszego.

Nienawisć, jaką Blake i Costner okazują dziecinistowskiej historii i ludziom Ameryki jest czymś wystarczająco złym, ale zastanawia też ignorancja ich własnego gatunku - Wielkiego Westernu. Ich "Siuksowie" to po prostu powołane znów do życia Szlachetne Dzikusy Montagne'a i Rousseau, prześladowane w stu filmach od ukazania się w latach pięćdziesiątych *Złamanej Strzaly*. Zaś ich "Paunisi" to te same Czerwone Diabły, które dominowały w filmach lat czterdziestych - *Bębnach nad Mohawką* i *Przejęciu Północno-Zachodnim*. Jedni i drudzy są czymś w rodzaju filmowej ikony, na tle której Hollywood raz chwali, raz gani amerykańską przeszłość i teraźniejszość.

Producent Costner dokonuje dwóch posunięć mających świadczyć o kulturowej wiarygodności filmu. Nie są one jednak aż tak oryginalne, jak zapewnia widzów, ani nie dotyczą istoty rzeczy. Jego Paunisi i Siuksowie noszą autentyczne pod względem historycznym ubiory. Wzorze tych szat bazują w istocie na portretach George'a Catlina i Carla Bodnera, którzy rzadko jednak malowali Indian w strojach innych, niż odświętne. Są one dodatkowo upiększane i wycinane w osobliwym smithsoniańskim stylu za pomocą narzędzi rodem z salonów Pierre Cardina i Saksa. A nikt jeszcze nie podliczył rachunków wystawionych przez speców od makijażu, choć pracowali usilnie przy malowaniu twarzy. Tandem, powierzchowni Indianie Costnera jawią się nam jako ozdobne karykatury.

Niektórym z nich pozwala on laskawie przemówić i - jeśli zawierzyć reklamie - "są to autentyczni Indianie mówiący językiem Lakotów". Nie wierzymy w to. To, co publiczność słyszy lub czyta na ekranowych "przekładach" nie pochodzi z ust indiańskich aktorów. Z jednym chyba tylko wyjątkiem (Dolores Leader Charge) są oni zawodowcami, których przodkowie pochodzą z innych plemion (Kri, Onida, Omaha) i operują wyrażeniami niezrozumiałymi dla Siuksów. Myśli wyrażane w napisach podczas dialogów pochodzą ze słownika pisarza Blake'a, a jedynym indiańskim językiem, który Blake zna, jest fikcyjna łamana "indiańszczyzna" z czasów Hiawathy.

To, co naprawdę słyszy publiczność, wywodzi się z zakulisowych cierpień Dolores Leader Charge, która służyła Blake'owi jako tłumaczka i doradca dialogowy angielskojęzycznych aktorów. Z poświęceniem ćwiczyła ona zespół w przerażającym go zadaniu wymowy lakockich zdań - z niezernym często rezultatem. Jak sama mówi, jej początkowe wysiłki przekształcały "indiańskich" zdań Blake'a w sensowne zdania lakockie nie powiodły się pod względem fonetycznym. Po pierwszej próbie nie mógł ich wymówić żaden z Indian, a tym bardziej Costner. Musiała "uproszczyć" napuszone zdania Blake'a za pomocą "kilku łatwiejszych słów", by rzekomi Siuksowie mogli w zadowalający sposób przeprowadzić kilka dialogów w języku Lakotów.

Wśród wielu myśli, które wyrażają "Siuksowie" Blake'a, na szczególną uwagę zasługują wynurzenia

starego wodza imieniem Dziesięć Niedźwiedzi. Pod koniec filmu, kiedy niebieskie szeregi amerykańskich cieniowców maszerują na Siuksów, każe Blake wyciągnąć Dziesięciu Niedźwiedziom na światło dzienne beczenny skarb plemienia - słotygowany hełm konkwestadora. "Kiedy przybyli tu Hiszpanie, zadaliśmy im klęskę - oświadcza wódz. To samo stało się z Meksykanami i Teksaszczykami, więc nie przestraszymy się również Białych". W niekończącym się strumieniu historycznych idiotyzmów ten zajmuje naczelne miejsce. Wystarczająco podejrzane, kiedy padają z ust książkowego wodza Komanczów, słowa te wypowiedziane przez wodza Siuksów w 1863 roku są wręcz nie do przyjęcia; Hiszpanie, Meksykanie ani Teksaszczykowie nigdy nie dotarli na tereny Lakotów.

Blake stanął przed zaiste ciężkim zadaniem uwypuklenia oswobodzicielskiej roli swego patrona. Ale czy Costner jest zbawcą, który po raz pierwszy pokazuje Siuksom broń palną? Bzdura. Siuksowie kupowali europejską broń już na dwa stulecia przed rokiem 1863. Wodzowie jednym rzutem oka oceniają Dunbara i decydują: oto człowiek, który pomoże nam zawrzeć traktat. Kolejna niedorzeczność. Do roku 1863 różne grupy Siuksów zawarły ze Stanami Zjednoczonymi siedemnaście traktatów, zaś ich przywódcy od dziesięcioleci korzystali z atakcji Waszyngtonu i innych miast. Dziecięca naiwność i skończona ignorancja przypisana Siuksom przez Blake'a są jego własnymi wymysłami obliczonymi na umiejscowienie Costnera pośród Dobrych Indian.

Po ukazaniu się filmu Costner obwieścił, że dzięki niemu Hollywood po raz pierwszy w historii "uwzględnił kulturę tradycyjnie źle pojmowaną - tak historycznie, jak i kinowo". Nie z tych rzeczy! *Taniec z Wilkami* to nie więcej, jak najnowszy z ukazujących się od 1950 roku filmów o Białym Bohaterze ratującym Nieszczęsnych Indian. Przez te czterdzieści lat milionom widzów ukazywano Indianina w jednym tylko wymiarze: jako ofiarę podboju. Oprócz jednego tylko eudownego wyjątku, *Taniec z Wilkami* nie wnosi do sztuki filmowej nic, co nie występowałoby regularnie u jego licznych poprzedników. Tą innowacją jest naprawdę czarujący wilk Dwie Skarpety, który dzieli z innymi miejsce na afiszach, ale który nie otrzymał Oscara, na którego zapracował.

*Taniec z Wilkami* głosi jako prawdę objawioną to, co i wszyscy jego poprzednicy: Indianin odszedł do przeszłości - ujarzmiony, martwy i przegrany. Bywalcy kina podnoszą się więc z miejsc wdychając i roniąc łzy nad całą tą niesprawiedliwością, oczyszczeni ze swych grzechów. Tymczasem proboszcz Costner i bratki Blake stoją u drzwi kapliczki, wspaniałomyślnie przyłączając się do ogólnej pokuty.

Czy więc *Taniec z Wilkami* powstał z miłości do historii? Z miłości do sławy, nudy Oskarów, pięciu milionów dolarów honorarium - być może. I niewątpliwie dla tego przelotnego moralnego niepokoju, jaki przenika publiczność chcącą uczynić coś dobrego dla największego przegranego Ameryki - ale nigdy dla historii. Amerykańskiej historii trzeba czegoś więcej, niż filmowa tandeta. Tymczasem w reklamie Costnera jest mniej bezstronności, niż w tekście Blake'a. Poprzez *Taniec z Wilkami* Costner i spółka głoszą pochwałę różnorodności, ale przedstawiają ją dość nieudolnie. Costner nie okazał się żadnym innowatorem; jego film powstał w dawno już po temu zaistniałych warunkach.

James A. Clifton

za zgodą Autora przełożył Aleksander Sudak

Profesor James A. Clifton jest wybitnym amerykańskim antropologiem i etnohistorykiem. Specjalizuje się w historii Pottawatomie, Ottawa i Wyandotów oraz w historii kontaktów między rasami. Jest współtwórcą 20-tomowej *Encyklopedii Indian Ameryki Północnej*. Jego najnowsze książki to *Being And Becoming Indian* oraz *The Invented Indian*.

Jak podał *Teletydzien* z 6.12.1993 r., blask Kevina Costnera jako twórcy filmowego i obrońcy Indian przemięwiają rozmaite skandale. Pisze się na przykład o jego finansowych machinacjach związanych z realizacją *Taniec z Wilkami*. Drobiazgowi dziennikarze wykryli ponoć, że Costner nie zapłacił całego honorarium obiecane indiańskim konsultantom filmu. Uważany za przyjaciela Indian aktor i reżyser planuje też, podobno wybudowanie wartego 60 mln dolarów kompleksu wypoczynkowego w Czarnych Górach, o ochronę i zwrot których Lakoci zabiegają bezskutecznie już od 120 lat. Czyżby jeszcze jeden "podwójny język"?

## Geronimo inaczej

10 grudnia 1993 roku wszedł na ekrany kin w USA najnowszy film wytwórni Columbia Pictures *Geronimo: Amerykańska Legenda*. Tytułową rolę gra w nim Wes Studi, a obok tak znanych białych aktorów, jak Jason Patric (por. Gatewood) i Gene Hackman (gen. Crook) występują też Rodney Grant w roli wodza Mangasa, Rhino Thunder jako stary Nana i Steve Reeves jako apacki skaut Chato.

Film, którego akcja koncentruje się na ostatnich miesiącach pościgu wojska za zbiegłym z rezerwatu wodzem Apaczów Chiricahua (lata 1885-86), mówi nie tylko o wydarzeniach, które doprowadziły do jego poddania się. Mówi też (inna sprawa czy do końca przekonywająco) o bardziej uniwersalnych problemach - konflikcie kultur, rozterkach jednostek i ich motywach. Ukazuje nie tylko determinację Geronima w walce z napływem Białych na ojczyste ziemie Apaczów (bez nadmiaru batalistyki), ale także rozmaite postawy ścigających go żołnierzy.

Zgodnie ze zwyczajem ostatnich lat, producenci filmu podkreślają swą dbałość o zachowanie realiów historycznych i kulturowych oraz "bezprecedensowe zaangażowanie" tubylczych Amerykanów w produkcję *Geronima*. Wśród indiańskich konsultantów byli m.in. Sonny SkyHawk - Siuks z rezerwatu Rosebud, założyciel organizacji American Indians in Film, która dąży do poprawy obrazu Indian w mediach oraz Leland Michael Darrow - historyk z rezerwatu Apaczów z Fortu Sill. Nad apackimi dialogami czuwał z kolei Michael Minjarez urodzony i wychowany w rezerwacie Apaczów White Mountain.

To dzięki nim możemy zobaczyć na ekranie nie wszechobecne w westernach tipi Indian prerii, lecz *wickiup*, dawne chaty Apaczów. Możemy przyjrzeć się paru realistycznym scenom z ich obozowego życia (filmowanym niestety w małowidnych, lecz odległych od prawdziwych ziem Apaczów plenerach stanu Utah) oraz przysłuchać się dialogom w ich języku (choć nie w dialekcie Chiricahua).

Warto dodać, że producenci filmu przyznali dwa stypendia dla indiańskich uczniów szkół średnich za najlepsze wypracowania na temat "Jak środki przekazu mogą lepiej ukazać i uhonorować kulturę i dziedzictwo amerykańskich Indian?"

Cień

## POW WOW - Święto tradycji

Pine Ridge, 5 sierpnia 1993 roku

Od samego rana powitała nas wspaniała pogoda i atmosfera ogólnego podniecenia. Wszyscy przygotowują się do otwarcia *pow wow*, które rozpoczyna barwna parada Lakotów ulicami Pine Ridge. Udział biorą wszyscy - tancerze, kobiety, dzieci - całe rodziny w kolorowej wstędze, pleszo, konno, w samochodach, różnie. Najstarsi niosą *stefy* i flagi, laskocę i amerykańską. Są też inne, na przykład sztandar indiańskich weteranów z Korei czy Wietnamu. Cały ten barwny korowód posuwa się powoli ulicami miasta wśród tysięcy gapiów i błysków aparatów fotograficznych. Właściwie, nie sposób oprzeć się robieniu zdjęć. Wszyscy, których fascynuje indiański folklor i muzyka, na widok takiego pochodu są oczarowani atmosferą tego wyjątkowego czasu w roku, kiedy nastaje czas zabawy, tańca, popisów na rodeo i rozmów w gronie najbliższych.

*Pow wow* to jedyna okazja w roku, kiedy mogą spotkać się Lakoci z wszystkich grup, aby choć przez cztery dni poczuć, że są razem, że są wolni, że nie zapomineli o tradycji, o bębnie, fajce i jedności. W pewnej chwili przeżywamy szok... zapowiedziano *everybody dance* (wszyscy tańczą) i nagle przed oczyma tańczy dziesiątki tancerzy. Tysiące dzwonek, płóc, wirujące wzorów w tańc bębnow i śpiewów. Ten niesamowity pokaz sztuki tańca i rzemiosła w atmosferze magicznej wspólnoty sprawia, że ma się wrażenie powrotu do wczesnego dzieciństwa. Kiedy świat był lepszy. Chyba dopiero tutaj, na laskocim *pow wow* poczułem siłę i wartość tradycji.

Wśród tancerzy można wyodrębnić generalnie trzy kategorie. Pierwsza to *old tradition* (wieloletnia tradycja) - skupiająca przeważnie najstarszych tancerzy, elitę; styl i stroje typowo tradycyjne. Druga kategoria to *fancy dancers* (tancerze z fantazją) - obejmująca młodych mężczyzn, poświęcających w tańcu mnóstwo energii na różne figury i popisy, obroty w powietrzu, szpagaty itp. Wyczuwa się tutaj powiązanie elementów tradycyjnych z baletem, a nawet jogginglem. Wreszcie

trzecią grupę stanowią *grass dancers* (tancerze trawy), którzy wyróżniają się odmiennym strojem, w którym dominującą rolę pełni welna, symbolizująca trawę.

Obok tancerzy, istotną rolę pełnią indiańskie „kapale”. Wkładym *pow wow* udział biorze zwykle z 5 sześciuosobowych zespołów, przeważnie rozróżnionych symetrycznie wokół całego placu. Trzeba mieć sporo siły, aby przez cztery dni nieustannie (z krótkimi przerwami na posiłki) bębnić i śpiewać. Widzeliśmy twarze solistów wygięte z bólu od wielogodzinnych śpiewów na różne tempa. Jakość *pow wow* zależy właściwie od zespołów - jeśli zespół gra dobrze, tancerze mają pole do popisu. Czasami bywa jednak inaczej - zespół jest kiepski i wtedy tancerze nie mają okazji pokazać się w całej krasi.

*Pow wow* to zatem wielki spektakl teatralny, obejmujący tańce, muzykę i śpiew. Arena do tańca była usytuowana na płaskiej przestrzeni za Pine Ridge, porośniętej zieloną trawą i otoczoną drewnianą konstrukcją w kształcie koła, tworzącą daszenie. Na placu przebywać mogą tylko tancerze, natomiast obserwatorom, gościnom i turystom wolno poruszać się tylko po zewnętrznej stronie kręgu, gdzie stoi mnóstwo straganów z jedzeniem i nie tylko. *Pow wow* to także czas wielkiego handlu. Właściwie sprzedaje się wszystko, książki, kasety, stroje, biżuterię, plakaty, znaczki, flagi, dosłownie wszystko. Wiele w tym tandety, choć zdarzają się też prawdziwe arcydzieła i eksponaty nierzadkie krew w żyłach.

Naszim ulubionym zajęciem na *pow wow* było zjadanie się indiańskimi potrawami, które przypadły nam do smaku. Było w czym wybierać. Jedno z popularnych dań to *hutan Taco* - hamburger z bizonim mięsem, za \$4. Nie można było się opamiętać i tak „straciłszy” \$8.

*Pow wow* w Pine Ridge opuszczaliśmy z ogromnym smutkiem i żalem. W ciągu tych czterech dni wiele zrozumieliśmy, więcej niż przez ostatnie parę lat. Przy okazji chcemy podziękować Todowi Yellow Cloud, naszemu gospodarzowi i gorliwemu tradycjonalistce, za to, że mogliśmy tak wiele zobaczyć, nauczyć się i przeżyć.

Jan i Leon Rzątkowscy

## Rezerwaty, samochody i psy

Po czym można poznać współczesny rezerwat? Nie tylko po tablicach ustawionych przy wjeździe, nie tylko po starych, brzydkich domach (których w Ameryce pełno - obok wielu pięknych chałupek), ale też - po przerażającej ilości psów i wraków samochodów.

Pamiętam moje pierwsze wrażenie, kiedy tu przybyłem - byłem zbulwersowany tym, co zobaczyłem. Jednak po roku życia wśród Blackfeet psy i samochody przestały robić na mnie wrażenie. Wręcz zmienił się mój punkt widzenia na te zjawiska i o tym chciałbym napisać.

Indianie Blackfeet już ponad wiek temu posiadali konie i wielu z nich hodziło do dziś. Nie sposób jednak jechać w dzisiejszych czasach 300 mil na zakupy konno - tym bardziej z dziećmi.

Gdy mieszkalem w Polsce, to jeden samochód przypadał na kilka rodzin. Tutaj niemal każda rodzina ma po kilka samochodów. Jednak samochody nie do końca wyparły konie. Koń i samochód traktowane są na równi i z szacunkiem (widać to np. na filmie "Pow-wow Highway"). Sto lat temu martwego konia pozostawiano na prerii. Dziś to samo czyni się z samochodami...

Pewnego styczniowego dnia w powrotnej drodze do domu zaskoczył mnie blizzard. Lodowe igielki wdierały mi się do oczu, spod przymkniętych powiek nie mogłem wypatrzyć na prerii żadnego drzewa. Śnieżna biel była wszechobecna. Nie miałem innego wyjścia, jak iść przed siebie w kierunku, z którego przyszedłem. Wciąż jednak nie mogłem odnaleźć żadnego punktu odniesienia. Po dłuższej chwili spostrzegłem w oddali jakichś ludzi, jednak w miarę zbliżania się postaci wciąż tkwiły nieruchome. Wkrótce okazało się, że były to jedynie wraki samochodów.

To dzięki nim przetrwałem tę zamięć.

Latem także przydaje się takie schronienie. Trafiają się deszcze, a nawet grad, które w godzinę potrafią uczynić człowieka chorym. Nawet gdy nie pada, to można tam znaleźć przyjemny cień, a nawet otworzyć okna (które czasem - choć popękane - istnieją) i wypuścić pręryjny wiatr.

Jakiś miesiąc temu wracałem ze Źródłkiem z połowu ryb. Nagle z mijanego wraku samochodu wyrzuciło wielkie ptaszysko - mógł to być orzeł lub jastrząb. Niestety, nie mieliśmy czasu na szukanie piór, bo nasz "motel na prerii" był daleko. Wiele mi to dało do myślenia, bo przecież wrak samochodu to także schronienie dla licznych mieszkańców prerii - jeżozwierzy, lisów i... grzechotników.

Wraki samochodów są także rajem zabaw dla dzieciaków. Już od najmłodszych lat powstają pierwsi "mechanicy", którzy później rozkładają auta na części, zarabiając w ten sposób choćby na gumę do żucia. Sam stałem się jednym z takich "mechaników", kiedy to przytargałem do swojego pokoju piękne lustro, a później, na życzenie Źródłka, pozabawiłem wrak oryginalnej tablicy rejestracyjnej z Montany (teraz wisi ona w nowym Centrum Przyjaciół Indian w Kozłaninie - Red.). Zresztą, tablice rejestracyjne są osobnym rozdziałem historii o pięknie Starego Zachodu.

Po wielu rozmowach ze Źródłkiem doszliśmy do wniosku, że te samochody wcale nie zaśmiecają prerii - jak początkowo uważałem - ale po prostu tam są...

Wraki samochodów w miastach to inna sprawa. Składa się je w jednym miejscu i w końcu zginią specjalnymi maszynami. I to właśnie nazwałbym zaśmiecaniem miasta - w którym i tak trudno jest zwykle zaparkować samochód. Natomiast na prerii jest tyle przestrzeni, że można je pozostawiać własnemu losowi... jak konie sto lat temu.

Ilość psów w rezerwacie Blackfeet może przerażać, natomiast już w pobliskim miasteczku Cut Bank (34 mile od Browning, na wschodniej granicy rezerwatu) psów się nie widuje. Cut Bank to typowe ciche miasteczko białych. Psy należą tam raczej do rzadkości, a właściciele trzymają je zwykle na smyczy, bo inaczej zapłaciliby słoną grzywnę. Pewnego dnia żona zwróciła mi uwagę na artykuł w prasie o kolesiu, który powędrował do więzienia za... pobicie psa.

Z kolei w Browning panuje absolutna "psia anarchia". Dla Indian Blackfeet psy były święte i do dziś nie pozbawia się ich życia - dlatego jest ich tak wiele. Natomiast w pozostałych rezerwach Montany (Flathead, Rocky Boy's, Fort Belknap, Fort Peck, Crow oraz Northern Cheyenne) psów jest mniej, bo się je... zjada.

Muszę tutaj od razu dodać, że konsumpcja taka odbywa się wyłącznie w celach ceremonialnych - dla przypomnienia sobie (?) starych dni i docenienia obecnego dostępu do pożywienia (taką w każdym razie informację przekazał mi mój przyjaciel Assiniboine z rezerwatu Fort Belknap).

To prawda, że od pierwszego dnia zakochałem się w tym rezerwacie, jednak zdobycie zaufania u Blackfeet i zyskanie wśród nich przyjaciół zajęło mi rok. Teraz mam dwóch przyjaciół - jeden jest "czystym" Indianinem Blackfeet, drugi - "czystym" Assiniboinem, ale najpierw były czyste... psie natury.

Pies potrafi być prawdziwym przyjacielem, mimo że nie rozumie po polsku. Szczególnie, kiedy otrzymuje codziennie pożywienie. Jest tutaj bardzo wiele pięknych psów - i niemal wszystkie bezdomne.

Pracując w sklepie spostrzegłem, że dużo jedzenia po prostu wyrzuca się na śmietnik. Kończąc pracę o 3:30 nad ranem zauważyłem też, że zawsze pod sklepem waruje ten sam piękny piesek (coś pomiędzy wilczurem a husky). Był brudny, lecz piękny i postanowiłem dać mu coś do jedzenia. Później nadałem mu polskie imię i stopniowo stał się moim przyjacielem. Drań potrafił na przykład rozpoznać mnie wśród tysiąca ludzi podczas Indian Days. Wkrótce okazało się też, że pod sklep przychodzą również i inni głodni "amatorzy".

Można się także dziwić, że te psy są kulawe, bez oka czy nogi (jak w filmie "Thunderheart"). No cóż, czasami walczą między sobą - właśnie o jedzenie. Tak było sto lat temu i tak jest do dziś. Prawo Zachodu jest bezlitosne - "przetrawa silniejszy".

Pewnego zimowego dnia Tipi (pies, który z nami mieszka) wrócił do domu ze zranioną łapą. Wyglądała na złamaną - prawie się popłakałem. Postanowiłem zabrać go do szpitala dla psów (bo takowe istnieją). Jednak Ron - mój przybrany syn - doradził mi, bym się zrelaksował, bo rok temu Tipi miał rozcięty cały brzuch, a Natura i czas okazały się najlepszym lekarstwem. Bez leków z apteki.

Dziś widoczne są tylko blizny po owych ranach, zaś Tipi nie musiał przeżywać stresu oczekiwania w poczekalni u jakiegoś psiego doktora. Gdyby umarł - znaczyłoby to, że był słaby. "Silniejszy przetrwa, słabszy zginie". I nie chodzi tylko o psy w rezerwacie Blackfeet. Takie jest całe życie.

Psy pojawiają się także w rozmaitych indiańskich nazwach. Na przykład podczas ostatniego Heart Butte Society Celebration Pow-wow była taka gra, zwana "stick game", w której brało udział Stowarzyszenie Szalonego Psa (Mad Dog Society). Biali ranczerzy i osadnicy nazywali Indian z prerii "Prairie Niggers" (preryjnymi Murzynami) albo "Prairie Dogs" (preryjnymi psami). Zaś nazwa "Dog Soldiers" (Psi Żołnierze, Żołnierze - Psy) jest znana nie tylko polskim Indianom.

P.S. Artykuł ten napisałem tuż przed przyjazdem do Polski. Kiedy wróciłem tutaj, zauważyłem, że nie ma pod sklepem mojego psiaka. Nazwałem go "Michu" i wkrótce cały personel sklepu tak go nazywał. "Michu" w ich ustach brzmiało dość zabawnie i często wszyscy śmialiśmy się z tego. Oto okazało się, że personel tak polubił psa, że jeden z pracowników wziął go do domu! I tak oto bezdomny pies, którego obdarzyłem imieniem i ciepłem, znalazł dom.

Jacek Piwowski  
*Rezerwat Indian Blackfeet  
Browning, Montana  
Pełnia Księżyca, sierpień '93*

## "Indian cars never die"

Nie jesteś Indianinem, jeśli nigdy nie miałeś indiańskiego samochodu! Każdy chyba wie, o czym mówię - z przodu jedna opona śniegowa i jedna radialna, z tyłu także dwie różne opony.

Światła ledwo działają, ulamaną antenę zastąpił wieszak. Nigdy nie było w nim kluczyków, więc zapalaś go stykając ze sobą dwa przewody. Bagażnik otwiersz płaskim śrubokrętem, a do środka wsiadasz tylko z prawej strony.

Powycinana fantazyjnie maska świadczy o turkaczach, na które nikt nie przyniósł bębna. Folia i kawał taśmy klejącej zastępują okno, które kosztowałoby więcej, niż wart jest cały pojazd. Wskaźnik paliwa nie działa, więc lepiej wóz ze sobą zapasowy kanister.

Nie zapomnij też kupić podczas okazyjnej wyprzedaży oleju, bo wóz zużywa go pół kwarty na milę. Nie przejmuj się natomiast tablicami - dowód rejestracyjny jest gdzieś u szóstego poprzedniego właściciela. Półki co wystarczy coś, co będzie wyglądało za szybą jak twój herb.

Na twój widok wszyscy gdzieś zmykają, bo wiedzą, że albo będzie cię trzeba popchnąć, albo podrzucić. Jeśli spóźnisz się do pracy lub na umówione spotkanie, zawsze możesz powiedzieć: "Miałem mały kłopot z wozem", a szef i w ogóle każdy chyba zrozumie, bo jeździsz indiańskim samochodem!

Nie denerwuj się rozbitą przednią szybą i pajęczą siecią pęknięć. Przecież wszyscy kiedyś musieliśmy nosić okulary sklejone taśmą.

Wreszcie, nie zapomnij o naklejkach! Na przykład: "Indiańska duma na kółkach", "Mój pojazd to Cadillac", "Ten samochód zatrzymuje się przy wszystkich indiańskich salonach bingo", "Nie śmieję się, zapłaciłem", "Dotkniesz maski, oddam w twarz", "Custer nosił koszulę ze strzał", czy "Nie śmieję się, jadę przecież przed tobą!".

A kiedy w końcu wyzionie ducha, ozdobisz nim trawnik przed domem. Gdy ktoś przyjdzie odkupić od ciebie samochód lub jakąś jego część, powiesz: "Mam zamiar go naprawić, potrzebuję tylko nowy silnik..."

Prawda jest taka, że ciężko jest rozstać się z tą starą bestią, która przewiozła cię przez pół stanu, kiedy ostatni raz wyszedłeś na drinka. Zawracaleś głowę domorosłym mechanikom z całego rezerwatu, bo coś z nim zrobili, ale gdy tylko naprawili jedno, psuło się drugie - nigdy jednak na tyle poważnie, by unieruchomić go na dłużej.

Indiański samochód nigdy nie umiera - on tylko parkuje! Możesz pozwolić spać w nim psu, możesz schować w nim zbędne rzeczy, lub trzymać tam ulubione graty, które kiedyś jeszcze mogą się przydać.

A kiedy twój następny indiański samochód zacznie sprawiać ci kłopoty, możesz zawsze wyjrzeć na podwórkę i powiedzieć: "Jezu, to był naprawdę dobry wóz!"

"Indian cars never die!" - indiańskie samochody nigdy nie umierają! One tylko parkują...

*tekst nieznanego autora i pochodzenia przełożył Cieni*

## Indianie w ONZ

Pod koniec listopada 1993 roku odbyła się w Nowym Jorku konferencja Organizacji Narodów Zjednoczonych pt. "Wolanie Ziemi: Dziedzictwo Pierwszych Narodów, proroctwa Wyspy Żółwia". Zwołano ją na apel tradycyjnych rad plemiennych, pragnących zaprezentować przedstawicielom społeczności światowej niektóre, dotyczące współczesnego świata, obawy i proroctwa Indian. Pretekstem do tego nietypowego spotkania przedstawicieli "dwóch światów" miał być kończący się 1993 rok - ogłoszony przez ONZ "Rokiem Tubyłców".

Program Konferencji obejmował między innymi Ceremonię Dziękczynienia w słynnej nowojorskiej Katedrze św. Jana, zasadzenie Drzewa Pokoju w Parku Centralnym, prezentację wiedzy tubyłców z Czterech Stron "Wyspy Żółwia" na temat Ziemi i środowiska oraz dyskusję o znaczeniu tradycyjnej wiedzy ludów tubyłczych dla ekologicznej polityki "ograniczonego rozwoju". O swoim dziedzictwie mówili delegaci Mikmaków i Algonkinów z Kanady, Huiczołów i Majów z Meksyku oraz Hopiów, Irokezów i Lakotów z USA.

*Cieni*

## \* Z Ziemi Indian \* serwis informacyjny \* Z Ziemi Indian \*

### Szczątki Szejenów powracają do domu

Gdy przed 115 laty umilkły strzały wymierzone w grupę Północnych Szejenów, którzy podjęli próbę ucieczki z więzienia w Fort Robinson w Nebrascie, ich ciała oddano Wojskowemu Muzeum Medycznemu do "badań naukowych". 8 października 1993 r. szczątki Indian wyruszyły wreszcie z Waszyngtonu do domu, ku któremu niegdyś uciekali. Ten powrót członków grupy Tępego Noża, zwanego także przez swych ludzi Gwiazdą Poranną, umożliwiła uchwalona przez Kongres w 1990 r. ustawa o repatriacji i ochronie grobów tubyłczych Amerykanów. Podczas religijnej ceremonii z udziałem wodza Północnych Szejenów Levando Fishera i 15 innych członków plemiennej starszyny, przywódców duchowych i wodzów stowarzyszeń szczątki 31 osób złożono w cedrowych skrzyniach i przewieziono z Muzeum Smithsonian Institution do rezerwatu w Montanie, gdzie pochowano je 16 października.

### "Więcej niż przedstawienie..."

Jesienią ubiegłego roku w Denver odhyla się premiera pierwszej profesjonalnej sztuki teatralnej opartej na jednym z klasycznych dzieł literatury "indiańskiej", książce Johna Neihardta *Black Elk Speaks* (Mówi Czarny Łoś). Zespół indiańskich artystów, z Nede Romero w roli tytułowej, odtwarza w niej fragmenty bogatego życiorysu i niezwykłych wizji Czarnego Łośa, świętego człowieka Oglalów oraz - wykraczające poza jego wspomnienia - słynne, wielkie i tragiczne momenty z historii Indian. W tym pełnym energii przedstawieniu artyści z kilkunastu tubyłczych narodów - od Alaski po Meksyk - łączą umiejętnie, pod kierunkiem reżysera Donavana Marleya i choreografa Jane Lind, elementy akcji, oracji, muzyki i tańca. Ucząc historii, urzeczywistniają zarazem na scenie przekazaną przez Czarnego Łośa wizję pokoju i jedności, która pobudziła do działania już kilka pokoleń Indian XX w. (Polski przekład książki ma się ukazać w tym roku)

### Indianie i NAFTA

NAFTA to angielski skrót zawartego przez Kanadę, USA i Meksyk tzw. Układu o Strefie Wolnego Handlu, przewidującego stopniowe znoszenie od 1 stycznia 1994 roku barier dotyczących przemysłu, handlu, zatrudnienia i ochrony środowiska. Generalnie korzystny dla rozwoju całego regionu układ krytykowany jest jednak m.in. przez wielu obawiających się o swoje traktatowe prawa Indian, a także przez Zielonych i obrońców praw człowieka. Według prof. Jacka Forbesa, dziekana Wydziału Studiów Tubyłczoamerykańskich Uniwersytetu Kalifornii, NAFTA gwarantuje dużą swobodę działania wielkim koncernom i elitom finansowym, nie mówiąc nic o gwarancjach dla rządów plemiennych, traktowanych na równi z władzami szczebla lokalnego. Powołane na mocy układu ponadnarodowe komisje mogą np. naruszać suwerenność tubyłczych narodów i zagwarantowane im konstytucyjnie uprawnienia. "NAFTA - zdaniem Forbesa - mówi o pieniądzach tam, gdzie tubyłcy myślą o Matce Ziemi, sprawach duchowych i skromnym życiu".

### Rap po indiańsku

Litefoot ("Lekkostopy") to pierwszy indiański artysta uprawiający powódzeniem murzyński dotąd rap. Litefoot jest członkiem Narodu Czirokezów z Oklahomy. W planowanym do połowy 1994 roku tournée, zatytułowanym - jak jego najnowszy przebieg - *Native Tongue* (Tubyłczy język), zamierza on wystąpić w 20 stanach. W swoich utworach i rozmowach z indiańską (i nie tylko) publicznością Litefoot podkreśla często znaczenie jedności Indian, szacunku dla ich dawnej kultury oraz nie ulegania nalogom alkoholizmu i narkomanii. Jego występ, zorganizowany podczas październikowego Tygodnia Tubyłczych Amerykanów w Rapid City i przyjęty owacyjnie przez dakockie miłośniczki czirokeskiego rappera, odbywał się pod hasłem "Tradition, Not Addiction!" (Tradycja, nie uzależnienie).

*Cieni*

# INDIAŃSKA KUCHNIA

Tak jak poszczególne plemiona różniły się między sobą językiem, kulturą i obyczajami, tak też różne były ich gusta smakowe.

Jeśli pod słowem „Indianin” będzemy rozumieć ogół kultur i plemion indiańskich obu Ameryk, to też ogólnie można stwierdzić, że Indianie jedli wszystko, co tylko ludzki żołądek jest w stanie przetrawić - od ziemi, poprzez wszelkie rośliny, po wykwintne kakao. Biorąc jednak pod uwagę poszczególne plemiona, zauważa się, że ich jadłospis uzależniony był głównie od tego, co może im dać do spożycia ich najbliższe otoczenie. A tu występują już wielkie różnice w menu poszczególnych plemion obu Ameryk. Różne też były sposoby przygotowywania do spożycia danego produktu, jak i różne były obyczaje towarzyszące jedzeniu. Z pochodzeniem poszczególnych produktów żywnościowych związane są też rozmaite legendy i mity. Nie sposób opisać wszystkiego, co jedli Indianie, dlatego też pozwolę sobie na przedstawienie tych mniejszych i bardziej dla nas szokujących pokarmów spożywanych przez Indian obu Ameryk.

Być może najbardziej „skrajnym” dla nas przypadkiem będzie „czarny budyń”: przy-smak południowoamerykańskich Indian Jamana. Przypomina to nieco naszą polską kaszanke, za którą z pewnością wielu z nas przepada. Owa „kaszanika” przyrządzana była przez Indian Jamana z jejli łamy *guana-ko*, które wypełniano krwią z... ludzkich nosów. W celu upuszczenia krwi z nosa mężczyźni brali patyki i stukali nimi dookoła własnych nozdrzy, aż zaczynała płynąć krew, którą z kolei wpuszczano do jejli. Nie wiem, ilestety, czy spożywano to na surowo, czy też może wstępnie zaparzano.

Podobne „kaszaniki” robiło też wśród Indian północnoamerykańskich. W książce *Kłowa Years*, autorka Alice Marriott zana-

cza, że kobiety Indian Kłowa z racji pewnego przyjęcia „zrobili długie sznury kiełbasek z krwi, przyprawionych szalwią i dziką cebulą, po czym zapakowanych w bizonie jejli i pieczonych na węglach”. Natomiast według relacji Auguste Guinnarda, Indianie patagońscy „za najwykwintniejszą potrawę uważają surowe płuca, wątroby i nerki wszelkich zwierząt, a nadto wypijają z nich krew podgrzaną lub skrzepniętą” - a Polacy gustują w tatarze.

W książce *Wódz Słońca*, Don Talayessa omawiając jadłospis Indian Hopi, zaznacza: „Przypatrywaliśmy się kastrowanemu baranowi i capów, i jadaliśmy wycięte części”. Indianom Wauka smakuje wszystko i gotują zwierzęta wraz z sierścią i wnętrznościami.

Antonio Hallk, po gościu u Indian Lakan-don wspomina: „Postawiono przed nami wielki gliniany garnek napełniony smaczną zupą, w której pływały kawalki małego mięsa. Jako gość honorowy otrzymałem głowę małpy, którą uważano za najlepszy kąsek”. No i nie ma co tu się wykręcać - polski „ewaniak” robiony jest ze święńskiego ryja, a jak smakuje!

Przejdźmy teraz do mniejszych stworzeń. Na pierwszy ogień niech idą pajki, w których gustują niektórzy Indianie Amazonii, spożywając je po upieczeniu. Aztekowie natomiast przyrządzali rodzaj pasztetu z jajeczek składanych przez pewną odmianę muchy na wodach jezior; potrawę tę po dziś dzień jada się w Meksyku. Ci sami Indianie jadali też gąsienice *maguey* pieczone w liściach agawy, larwy mrówek oraz jaszczurki w słodkawym sosie z soku kaktusa. Gustowali też w salacie robionej z opuncji!

Dziś w samym centrum meksykańskiej stolicy w jednej z najstarszych jej dzielnic - De la Merced - znajduje się niezwykle restauracja, specjalizująca się w kuchni azteckiej. Aby jednak ocenić kulinarne mistrzostwo dawnych Indian, współczesny człowiek musi wykazać nie lada męstwo. Jeżeli jednak zaryzykuje, przemagając niechęć i przewydzając przesady, nie będzie żałował, gdyż każde azteckie danie w tej restauracji to gastronomiczne dzieło sztuki.

W kuchni indiańskiej bywały jednak potrawy dość mdłe, o których wspominał w XIX wieku polski obłączyświat, Aleksander Holyński pisząc, że podstawowym pożywieniem Indian Kalifornii było „ciasto z maki żółcziowej wypiekane w piecu, jak chleb. Nigdy w życiu nie próbowałem czegoś tak pozbanionego smaku - zupełnie jakby się żułowapno”. Dalej dodaje też: „nie gardzą żadnym mięsem od koińskiego do szczurzego”.

Z drugiej strony były też potrawy smakowo całkowicie przeciwne do „chleba żółcziowego”, a N. Scott Momaday w swej autobiograficznej książce *Intona* pisze, że była to „gęsta zupa z chilli i wołowiny. Miała kolor cegły i była zdecydowanie ostra w smaku”. Inna potrawa, o której wspomina „też z wołowiny i chilli - była właściwie ciemnoczerwoną pastą z chilli, która paliła usta i sprawiała, że człowiekowi pot tryskał wszystkim porami ciała. Kiedy to zjadłem, całą swoją istotą błagałem o wodę, gotów byłem oddać wszystko za chociażby łyżkę zimnej wody. Nie otrzymałem jej jednak. Podawano tylko kawę i to tak gorącą, że parzyła mi język”.

Wśród niektórych plemion tradycja nie pozwalała na jedzenie pewnych pokarmów, o czym na przykład wspomina Don Talayessa - Indianin z plemienia Hopi we wspomnianej już książce *Wódz Słońca*: „Ptasich jaj nie jadano, chociaż jadano jaja kurze i indyjskie. Nie jadaliśmy mięsa indyków, ale wyrzucaliśmy im pióra do modlitewnych paleczek używanych podczas obrzędów. Pouczano nas, że nie wolno nigdy jeść jastrzębi, wron, orków, węzów, jaszczurek, mrówek, owadów, chrząszczy i żółwi słodkowodnych. Niekiedy jadali psie mięso, ale imi uważali to za hańbę”.

Pokarmowe „tabu” wynikają też z zupełnie innych przyczyn. Tak to, na przykład, Indianie z Sierzy ekwadorskiej mleko i jajka wolą sprzedawać, aby uzyskać pieniądze na zaspokojenie innych potrzeb. Ten zrodzony z konieczności zwyczaj jest do tego stopnia zakorzeniony w niektórych wspólnotach, że Indianie ci w ogóle nie używają wspomnianych produktów, nawet wtedy kiedy otrzymują je za darmo.

Powróćmy jednak raz jeszcze do Indian ekwadorskich. Specjaliści porównując ilość kalorii spożywanych przez tych Indian i potrzebnych im do pracy, doszli do wniosku, że wartość kaloryczna przypadająca tam na jedną osobę, nie wystarcza nawet na to, aby utrzymać się ona przy życiu!

Ci sami Indianie gustują w pewnym pokarmie, którzy może zważyć z nóg wszystkich „wątroblarzy”. Jest to gotowany bób, który po zmłóceniu obiera się z łupin i dalej gotuje, aż do otrzymania potrawy o konsystencji papki. Pod koniec gotowania dodaje się sól i cebulę.

Dla „ciastkarzy” na uwagę może zasłużyć placek poziomkowy Indian kanadyjskich, o którym wspomina Josef Schultz w książce *Wielki wódz prerii*: „Jedną z Indianek plemienia Kri dała w podarku placek, jakiego misjonarze nigdy jeszcze nie jedli: przeżute, a następnie wysuszone na słońcu poziomki”. Aby naszej ofiarodawczyni nie obrazić, zjedli ten osobliwy placek, a do tego różnorakie korzenie przyprawne.

Nie ma też tu co ukrywać, że niektórzy Indianie gustują we wszelkich napojach wysokowych. W takich wypadkach również przekraczane są wszelkie granice. I tak, na przykład, Ronald Romano w swej książce *Ameryka Indiańska?* podaje:

„*Chicha* to produkt fermentacji gotowanej kukurydzy. Napój ten bez żadnych dodatków jest mało szkodliwy. Natomiast *chicha*, którą piją Indianie ekwadorscy to prawdziwa trucizna. *Chicheros* (właściciele sklepów) dodają do niej także składniki jak: sok agawy fluripondlo (roślina o właściwościach usypiających), substancje organiczne (włosy, kości, mięso, ekskrementy ludzkie) i amoniak. Podobno dodają również kantarydy (owady przynoszone przez Indian ze wschodnich terenów Ekwadoru, które rzekomo wzmacniają popęd płciowy). Z tymi dodatkami *chicha* nabiera piorunującej mocy, a im mocniejsza, tym większe jej powodzenie. Nazywają ją *hu-agra-chaqui* (kopnięcie woli)”.

No to przyjemnego szamania.

Szaman

## ✉ SZANOWNA REDAKCJO

### PISMA TAWACIN

Postanowiłam napisać, w jaki sposób spotkałam się z Indianami.

Jako małe dziecko miałam pióropusz Indianiński, taki dziteciący i szczerze mówiąc tylko to mi się podobało. Później zaczęłam oglądać westerny, ale to co mnie interesowało to strzelaniny między kowbojami, napady na dyktando, czy walka z Indianami traktowanymi w tych filmach jako wróg, którego należy zabić. Czyli jak mawiali niektórzy: *dobry Indianin to martwy Indianin*.

Przez dłuższy czas miałam zamknięte oczy na sprawy Indian. Wiedziałam, że jeszcze żyją, co wydało mi się cudem. Myślałam, że wyginęli jak prehistoryczne dinozaury. Na szczęście było inaczej.

Oczywiście bardzo fascynowała mnie kultura Indian przedkolumbijskich: Inków, Azteków, Tolteków itp. Z braku książek musiałam zadowolić się filmami państwa Hallków, czy jakimiś informacjami nie zawsze prawdziwymi.

Tak, czytałam trylogię *Złoto Gór Czarnych*, ale to nie było to.

Szczerze mówiąc, Indian odkryłam dzięki ojcu, za co jestem mu bezgranicznie wdzięczna. On miał zupełnie inne podejście do Indian, był nim oczarowany, urzeczony i to od niego dowiedziałam się o Apaczach, Szoszonach i jeszcze paru plemionach.

Oglądając kolejne filmy o „szlachetnych” kowbojach, rozumiałam jak bardzo krzywdził się Indianie.

Po jakimś czasie odkryłam i zrozumiałam, że to ja jestem Indianinem, mimo białego koloru skóry. Czytałam to sobie, choć moje zachowanie było czyste europejskie, białego człowieka. Być może to brzmiało egotystycznie i snobistycznie, ale jestem jedną z nie-Indian, tak bardzo pogardzanych przez resztę ludzi i traktowanych gorzej od Murzynów.

To, co mnie martwiło to brak jakiegokolwiek literatury na temat życia codziennego, zwyczajów, wierzeń Indian. Cokolwiek czytałam, nie było to do końca prawdziwe, abym mogła w to uwierzyć. Wreszcie przeglądając u kolegi gazetę NON-STOP znalazłam artykuł o Świętym Ilegu i zdaje się, że adres PSP1. Dlatego napisałam do Was i dzięki Wam mogłam nakarmić swój głód wiedzy i nie tylko, o tych WSPANIAŁYCH I MAJDRYCH LUDZIACH. Od nich powinniśmy uczyć się szacunku do siebie, do starszych ludzi, do Matki Ziemi, natury i wszystkiego, co żyje.

Niestety, ludzie nadal są ślepi i nie chcą widzieć tego, co czynią. W tamtym roku byłam we Wrocławiu na wystawie poświęconej Indianom Hopi. To co zobaczyłam było paranoją. Poza kilkoma tablicami zawierającymi suche informacje i paroma zdjęciami, poza paroma książkami wątpliwej treści nie było nic. Nie mówiąc o ludziach. Byliśmy tylko my: ja i mój kumpel, Tomek. SZOK! Z drugiej strony jesteśmy pod tym względem ubodzy (chodzi o materiały, przedmioty i to wszystko, co dotyczy Indian), ale wiem, że gdyby ludziami choć trochę na tym zależało, zrobiliby więcej...

Moja droga do poznania Indian była zawiła, często pełna kłusów, ale teraz wiem, kim jestem i kim są Oni - ci, którzy nauczyli mnie i nauczyli wielu mądrych i pożytecznych rzeczy. Odnalazłam siebie jako człowieka, dziecko wszechświata, dziecko tej ziemi, stronę motli Czerwonoskórych Braci. Przepraszam za określenie Czerwonoskóry, ale nie miałam nic obraźliwego na myśli.

Dziękuję za wysłuchanie mnie i tego, co miałam do powiedzenia. Paru motli przyjaźnił z radością czyta TAWACIN i są wdzięczni za to czasopiśmie.

Katarzyna „Viking”, lat 26, Nowa Sól

### ✉ WITAJCIE KOCHANI

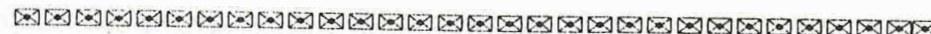
Od ponad dwóch lat czytałam TAWACIN i teraz, skoro trochę czasu minęło od mojego pierwszego zetknięcia się z TAWACINEM, chciałabym podzielić się z Wami kilkoma uwagami.

To, co robię to naprawdę kawałek dobrej roboty: tylko że nie jestem pewna, czy idzie to w dobrym kierunku.

Szczerze mówiąc nawiązałam z Wami kontakt przez błąd w druku, ponieważ Indianie naprawdę nie pasjonowali mnie aż tak bardzo. To było kiedyś. A teraz? Poza historią, poczytaj (interesuję się nią można by powiedzieć ze względów zawodowych, ponieważ sama piszę) zajmują mnie wszystkie bolące sprawy świata Indian. Wszystko to, co sprawia, że dochodzą do głosu we mnie jakieś niezbyt humanitarne pomysły w stosunku do pewnych ludzi.

Robicie złoty, w porządku. Niedźwiadek uczy jak robić wspinalne stroje, a Monika jak upleść prawdziwie Indianiński obiad. Tylko, po co to wszystko?

Można ubierać się jak Indianie, jeść jak oni, palić fajkę itd. Tylko, co to da? Być może się mylą, ale część ludzi interesuje się PSP1 tylko z powodu tego barwnego i egzotycznego „luku”. A Indianie?



Są, to są. Nie bądźcie ich - też dobrze, ponieważ i tak zostaną ich pióropusze i wigwamy. Nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś przez wyszywanie koszul pomógł cierpiącym i umierającym ludziom. Część ludzi wchodzi w to wszystko, bo jest to *en vogue*. Przykład takiego zachowania dał, na przykład, Sting „walecząc” o zachowanie lasów amazońskich i ratowanie tamtejszych Indian. I co? Lata minęły, a lasy jak się wycinały, tak się wycina: Indian jak się nie dostrzegano - tak się nie dostrzega. Chciałabym, żeby wszyscy ludzie przestali widzieć w Indianach (wszelkich) tylko egzotyczną ciekawostkę, a zobaczyli w nich takich samych LUDZI.

Wybaczone te wszystkie ostre słowa, ale kiedy słyszę o gwałceniu ludzkich praw, mordowaniu i powolnej agonii ludzi i natury, to naprawdę krew mi się zalewa.

Jeszcze jedno, popatrzcie uważnie i porównajcie ten cały ból i cierpienie do pięknych strojów. One w tym wszystkim znaczą najmniej.

Anna

P.S. Na koniec tego pisma zostawiłam wcz. dedykowany wszystkim. W wojnie, którą prowadzimy ze światem i ludźmi, każdy z nas jest lub będzie ofiarą.

nakładamy na twarz  
grubą warstwę wojennych  
farb  
i w zachwycie łaneczmy  
łanecz śmirel  
wokół kuli  
ziemskiej

i tylko gdzieś pod naszymi  
stopami łą się jeszcze  
marne resztki prawdziwego  
istnienia

lecz my ogłaszamy  
rytmem zabijania  
dalej bawimy się  
w wojnę z samym  
sobą.

### ✉ PANORAMA WESTERNU

Jak już informowaliśmy, Telewizja Polska program 2, wyświetla serię kilkunastu filmów z gatunku westernu. Oto, co zobaczymy w 1994 roku:

- 05.02. - Jesień Szejenów (rok prod. 1964)
- 12.02. - Zdarzenie w OX-Bow (1942)
- 19.02. - Ścigany
- 26.02. - Johnny Guitar
- 05.03. - Białe Kanton (1958)
- 12.03. - Łowcy Skalpów (1967)
- 19.03. - Człowiek, który zabił Liberty Valence'a
- 26.03. - Dziką Banda (1969)
- 02.04. - Miasto Bezprawia (1946)
- 09.04. - Pojedynek w Corralu O.K. (1957)
- 16.04. - W Samym Południe (1952)
- 23.04. - Gwiazda Szeryfa (1957)
- 30.04. - Rio Bravo (1958)
- 07.05. - Ostatni pocałunek z Gun Hill (1958)
- 14.05. - Strzały o Złoty Róg (1962)
- 21.05. - Siedmiu Ludzi do Zabicia (1956)
- 28.05. - Bravados (1958)
- 04.06. - Niebezpieczni Kompani (1961)
- 11.06. - Shooting (1966)
- 18.06. - Odstrel (1971)
- 25.06. - Wielki Jake (1971)
- 02.07. - Niesamowity Jeździec (1985)
- 09.07. - Santee (1973)
- 16.07. - Rio Lobo (1970)
- 23.07. - Monte Walsh (1970)
- 30.07. - Dylżans (1939)
- 06.08. - Ringo Kid (1966)
- 13.08. - Droga do Yellow Sky (1948)
- 20.08. - Daleki Kraj (1955)
- 27.08. - Człowiek z Alamo (1953)
- 03.09. - Człowiek Bez Gwiazdy (1955)
- 10.09. - Hombres (1967)
- 17.09. - Ballada o Cable'u Hogue'u (1970)
- 24.09. - Wyjęty spod Prawa (1943)
- 01.10. - Chisum (1969)
- 08.10. - Młode Strzelby (1988)
- 15.10. - Patt Garrett i Billy Kid (1973)
- 22.10. - Jesse James (1939)
- 29.10. - Powrót Franka Jamesa (1940)
- 05.11. - Butch i Sundance: Dni Młodości (1979)
- 12.11. - Butch Cassidy i Sundance Kid (1970)
- 19.11. - Żywy lub Martwy (1988)
- 26.11. - Tom Horn (1981)
- 03.12. - Siedmiu Wspaniałych (1960)
- 10.12. - Dwa Złote Kolty (1959)
- 17.12. - Jim Gringo (1950)
- 31.12. - Prawdziwe Męstwo (1969)

# KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI KSIAŻKI

## LITERATURA PIĘKNA

- Michael Blake: *Tańczący z Wilkami*. Wyd. Aramis. Kraków 1991, cena 29.000,-  
*Tylko zlenka przetrwała...* Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. SOK Sztum 1992, cena 29.000,-  
 Brian Moore: *Czarna Suknia*. Graffiti. Kraków 1992, cena 31.000,-  
 Longin Jan Okoń: *Plonąca pręta*. Powieść o wojnie Czarnego Jastrzębia. Lublin 1990, cena 15.000,-  
 Thomas Berger: *Mały Włotek Człowiek*. Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, cena 37.000,-  
*Świąły Krąg*. Dawna i współczesna poezja Indian Ameryki Północnej w przekładzie Leszka Michalika. Oprac. Wojciech Retz. Wyd. Grupy Działu Twórczych. Chodzież 1993, cena 13.000,-

## ANTROPOLOGIA

- Ewa Nowicka: *Świat człowieka, świat kultury*. PWN. Warszawa 1992, cena 64.000,-

## RĘKODZIEŁO

- Wiesław K. Niedźwiadek: *Indianie techniki zdobienia koralkami*. TIPI, Wielichowo 1992, cena 15.000,-

## HISTORIA

- Jan Szczepański: *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Dzieje plemienia Czajęnow 1835-1880*. Warszawa 1990, cena 23.000,-  
 Izabella Rustnowa: *Indianie, traperzy i osadnicy w dziejach amerykańskiego Zachodu*. Warszawa 1990, cena 25.000,-  
*Amerika Indianiska. Spotkanie dwóch światów*. (Katalog wystawy) Praca zbiorowa pod red. Janusza Jaskulskiego. Poznań 1992, cena 45.000,-  
 Bartolome de Las Casas: *Krótkie relacje o wyniszczeniu Indian*. "W drodze". Poznań 1988, cena 17.000,-

- Ewa Nowicka i Izabela Rustnowa: *Indianie Stanów Zjednoczonych*. Antologia tekstów źródłowych. PWN. Warszawa 1991, cena 60.000,-  
 W DRODZE nr 11 z 1992, miesięcznik o. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki. cena 15.000,-  
 Franz Braumann: *Wśród Indian Guarani. Antonius Sepp von Rainey 1655-1733*. Wyd. VERBINUM. Warszawa 1989, cena 15.000,-  
 Michał J. Rozbicki: *Narodził się narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku*. Wyd. Interim. Warszawa 1991, cena 50.000,-

## PO RAZ PIERWSZY W OFERCIE

- Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu*. Wyd. Spółdzielcze. Warszawa 1991, cena 18.000,-

Książka dla wstępujących na ścieżkę poznania świata Indian. Autor przedstawia sylwetki kilku sławnych postaci (Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Geronimo, a także Sał Okh i Karol May), podając mnóstwo ciekawych faktów i ukazując jednocześnie jak ci ludzie wpływali na tworzenie się legendy o zdobywaniu Ameryki. Bardzo dużo fotografii, w tym kolorowych.

W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

**TIPI, Marek Maciołek,**  
 ul. Łąkowa 3  
 64-050 Wielichowo  
 GBW-BS w Wielichowie  
 Rk nr 963549-56531-136

UWAGA: wysyłka książek „za zaliczeniem pocztowym” kosztuje dodatkowo do 10.000 zł. opłaty pocztowej.

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez Bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przesłać zamówienie listem dołączając kserokopię przekazu.

## Szanowni prenumeratorzy,

z dużą satysfakcją stwierdzam, że TAWACIN spotyka się z coraz większym zainteresowaniem Czytelników, których opinie utwierdzają mnie w przekonaniu, że polskim przyjaciółom Indian polrzebne jest to czasopiśmo. Rosnąca popularność nakłada jednak na wydawcę i cały zespół redagujący obowiązek systematycznego podnoszenia jakości merytorycznej i technicznej pisma.

Niestety pociąga to za sobą wzrost kosztów produkcji (skład komputerowy, cena papieru i energii itd.) i dlatego zmuszony jestem podnieść cenę prenumeraty do 15.000 zł. za jeden numer. Prenumerata roczna wynosi więc 60.000 zł.

Jak zwykle oferuję możliwość obniżenia tej ceny przez wysyłkę co najmniej 2 egzemplarzy tego samego numeru pod wspólny adres. Szczegóły obok.

Jednocześnie pragnę powiadomić, że od następnego numeru TAWACIN liczyć będzie już 56 stron, co pozwoli m.in. na zamieszczanie więcej grafik i fotografii.

Na koniec wyrażam nadzieję, że każdy kolejny numer TAWACINU będzie ciekawszy od poprzedniego.

Marek Maciołek

## WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena detaliczna jednego numeru w prenumeracie wynosi 15.000 zł (razem z wysyłką). Prenumerata roczna wynosi 60.000 zł.

Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1994
1	15 000	60 000
2-4	14 000	56 000
5-9	13 000	52 000
od 10	12 000	48 000

Wpłaty należy klerować na konto:

**MAREK MACIOŁEK, TIPI**  
 UL. ŁĄKOWA 3  
 64-050 WIELICHOWO  
 GBW-BS W WIELICHOWIE  
 RK NR 963549-56531-136

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

**NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!**

